

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

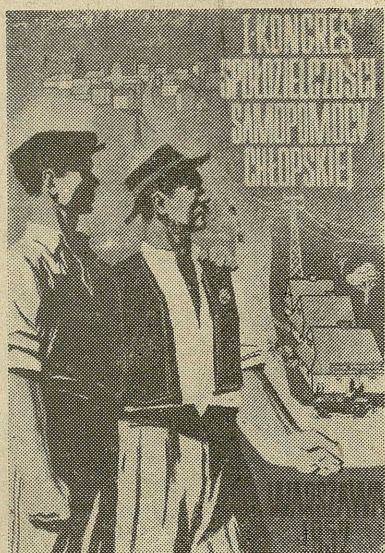
Warszawa, dn. 7 IX. 1952 r.

Nr. 36 (370)

ZESPALAMY WYSIŁKI W SZEREGACH FRONTU NARODOWEGO

EDMUND PSZCZÓŁKOWSKI

NASZE GŁÓWNE ZADANIA



EDWARD OSTAŁOWSKI

Bądźmy gospodarzami!

ZADANIA, postawione przed gminnymi spółdzielniami, zostały tylko wówczas wykonane, kiedy my, chłopcy, poczyliśmy się gospodarzami tych spółdzielni i uznaliśmy, że plany gospodarcze indywidualnych chłopów są częściami planów spółdzielni.

Dłatego ja średniololny chłop z gromady Smielin, pow. Wyrzysk podjąłem dla uczczenia I Kongresu Spółdzielczości Zaopatrzenia i Zbytu, spuszczając z siebie trochę złośliwości — podnieść hodowlę trzody chlewniej o 7 sztuk więcej niż w roku ubiegłym i odstawić w rb. zamiast wyznaczonych mi 279 kg żywności — 2 tony żywności, co równa się 20-tu sztukom.

Na poczet tego zobowiązania odstawiłem już 11 sztuk. Pozostałe 9 sztuk odstawię w m-cu październiku.

Wzywam was, wszystkich delegatów, do szlachetnego współzawodnictwa tak indywidualnego jak i zespołowego, gdyż gromada, z której pochodzę jest przedującą gromadą w powiecie i wszyscy mieszkańcy gromady wywiązują się z obowiązków dostaw z nadwyżką.

Nie tylko gospodarstwa indywidualne naszej gromady są produkujące.

Mamy resztówki, które są produkujące nie tylko w skali województwa, ale kto wie, czy nie w skali krajowej. I tak w resztówce Smielin o obszarze 70 ha stan pogłówna trzody chlewniej wynosi 113 sztuk, w tym 20 macior. Resztówka wykonała już plan obowiązkowej dostawy żywności w 300 proc., a do końca roku odstawi jeszcze 35 sztuk, przez co wykona plan w ponad 500 proc.

Resztówka Smielin nastawiona jest nie tylko na hodowlę trzody chlewniej, ale na szeroką skalę prowadzi również ogrodnictwo, sadownictwo i szkółkarstwo. Produkcja roczna drzewek owocowych w roku bieżącym wynosi 90 tysięcy sztuk, z czego trzydziestu drzewek do sprzedaży 25 tysięcy szt.

Resztówka ta zaopatruje gospodę oraz wszystkie sklepy gminnej spółdzielni w warzywa i owoce, zaspakajając w zupełności zapotrzebowanie mieszkańców gminy.

Resztówek w powiecie mamy 14 i wszystkie są dobrze zagospodarowane. Na bazie 3-ch resztówek założono spółdzielnię produkcyjną: w Jadwigrów, w Młotkowie i Dzierżynie.

Dobrze byłoby, gdyby wszystkie resztówki naszego województwa w podobny sposób gospodarowały, gdyż właściwie prowadzone i dobrze zagospodarowane resztówki są przykładem dla gospodarstw indywidualnych. Musimy się jednak przyznać, że w niektórych powiatach naszego województwa, jak mi wiadomo, są gospodarstwa rolne prowadzone przez gminne spółdzielnie, które pracują źle i deficytowo. Do takich resztówek należą resztówka Okalewo, pow. Rypin, resztówka Łąsko, pow. Bydgoszcz.

Resztówki te powinny wziąć przykład z resztówki Smielin, Jadwigrów, Janiszyn i innych.

Zdradzę wam tajemnicę dobrej pracy resztówek w pow. Wyrzysk. Pracują one dobrze dlatego, że nadzór nad nimi sprawuje samorząd spółdzielczy.

Poczujmy się mocniej, gospodarzami gminnych spółdzielni i nie uchyłajmy się od pracy w samorządzie spółdzielczym, bo tam, gdzie dobrze pracuje samorząd, tam dobrze pracuje spółdzielnia.

Edward Ostalowski
Smielin, pow. Wyrzysk

JEDNYM z podstawowych zadań stojących przed spółdzielczością zaopatrzenia i skupu jest nieubłagana walka z demoralizacją części aparatu pracującego, pozostającą jeszcze to napływające skargi z terenu na kradzieże, bezduśność, na lekceważące traktowanie chłopów. Są przykłady, że nieraz całą gminną spółdzielnię obsadza klika powiązana ze sobą, popierająca się wzajemnie, żerująca na chłopach i rozdrapująca majątek spółdzielczy, wspólne dobro chłopów. Przykłady takiego zdemoralizowania poszczególnych pracowników podawali również w swoich wystąpieniach delegaci. Podstawowym źródłem tych faktów, jak to słusznie już wykazała dyskusja, są niewypelnione do końca wpływy kulkackie.

Obok walki o usunięcie wpływów kulkackich w spółdzielni istnieje zagrożenie walki ze starymi nawykami, z przekleństwem spuścizny po obszarnej i kapitalistycznej Polsce, spuścizny społeczeństwa, w którym — jak mówił Lenin — „bieda i nędza spychała wciąż nowe tysiące na drogę chuligaństwa, sprzedajności, łotrstwa, zatrącania oblicza ludzkiego”. Ta spuścizna przenika niekiedy do spółdzielni, przenika w postaci wykołajników, zdemoralizowanych typów, przenika w postaci byłych sklepikarzy, młynarzy, rzeźników — zgrai spekulantów, przywykłych przez całe życie do wyzysku i do nierobstwa. Oni to w głównej mierze demoralizują nowych pracowników, nieokrzeszonych i niedoświadczonych w pracy, oni ich wciągają w swoje macki, oni często są źródłem kradzieży, oszustw i korupcji. „Bogaci i oszuści, to dwie strony tego samego medalu” — mówił Lenin.

Do walki z tymi przejawami winna stanąć ogromna większość uczciwej, moralnie zdrowej, ofiarnej reszty pracowników spółdzielczych. Do walki tej pracownicy spółdzielczy powinni być uzbrojeni przez bardziej aktywną pracę organizowaną przez związki zawodowe, organizacje polityczne, podnoszącą nieustannie ich

świadomość polityczną, ich postawę moralną i ich hart. Do walki tej powołane są w pierwszym rzędzie masy członków spółdzielni przez aktywnienie pracy samorządu spółdzielczego. Walkę tym zjawiskom wydać powinna taka praca członków spółdzielni, w której — jak mówił Lenin — „rzeczywiste masy biorą rzeczywisty udział w rządzeniu spółdzielnią”.

Podstawą pracy samorządu jest stała i codzienna kontrola bogatej w swej różnorodności gospodarki spółdzielczej na wszystkich jej szczeblach. Trzeba, ażeby rozdzielnictwo towarów kontrolowane było nie tylko w gromadzie, ale również na szczeblu gminy i powiatu. Kontrola taka zapewni równomierny i pełny dopływ towarów ze szczebla powiatu do gminy i ze szczebla gminy do gromady. Trzeba stanowczo poprzez uaktywnienie kontroli samorządu walczyć z takim złem, które w niektórych jeszcze spółdzielniach obserwujemy — że towar zanim dojdzie z PZGS do gromady po drodze rozchodzi się i do gromady dochodzi go niewielka ilość.

Obok kontrolnej roli ogniw samorządu należy podkreślić jego ogromną rolę wychowawczą. Samorząd winien drogą stałą krytyki pomagać ludziom, strzec ich, wychowywać ich codziennie, wychowywać młode córki i synów chłopskich, którzy przychodzą do GS, podnosić ich moralność oraz świadomość i zdawanie sobie sprawy z wielkiej odpowiedzialności i ważności zadań, jakie mają do wykonania. Rolą samorządu jest zatem nie tylko kontrola ale również wychowywanie na podstawie właściwie przeprowadzonej i realizowanej w codziennym życiu krytyki i samokrytyki.

Należy zwrócić również uwagę na konieczność przestrzegania zasad demokracji spółdzielczej — jednej z podstawowych zasad statutu spółdzielni. Statut spółdzielni nie zawsze w praktyce jest przestrzegany. Często bowiem zmienia się władze spółdzielni bez wiedzy, woli i zgody

członków. Takie łamanie zasad statutowych nie może wzbudzać wśród członków przeświadczenia, że są oni prawdziwymi gospodarzami spółdzielni. Takie lekceważenie podstawowego prawa członków spółdzielni nie sprzyja rozwojowi samorządu, demokracji, aktywności tych człon-

wiejszą konsekwencją przystępować do usuwania z gminnych spółdzielni tych kulków, którzy działają na szkodę gminnej spółdzielni. Walka o całkowitą likwidację wpływów kulkackich wymaga niedopuszczenia kulków do władz spółdzielni i do wszystkich ogniw samorządu spół-



Foto — CAF

ków i ich pracy na terenie spółdzielni. I z tymi przejawami należy jak najbardziej rygorystycznie walczyć. Równocześnie walczyć o stabilizację kadr, o to aby kierownictwo spółdzielni zdobywało doświadczenie, ażeby członkowie znali to kierownictwo, aby nabierali do niego zaufania, ażeby jak najbardziej nawiązywała się nie wzajemnego zrozumienia i wzajemnej współpracy.

Zasadą przestrzegania przepisów statutu nie może w niczym osłabić walki z kulakami, który zgodnie z przepisami statutu spółdzielni może być jej członkiem. Trzeba z coraz

bardziej. Zgodnie ze wskazaniami Prezydenta Bieruta — spółdzielnie mają za zadanie coraz „mocniej podcinać i rugować na wsi i w mieście elementy kapitalistyczne, które pragną odzyskać swe utracone pozycje atakując zaciekle naszą gospodarkę socjalistyczną”. Walka o izolację kulków, o zdemaskowanie ich w gromadzie, w gminnej spółdzielni, walka o odgrócenie ich i likwidację wszelkiego ich wpływu — oto zadania, które stoją przed masami chłopów mało i średniololnych w gminnych spółdzielniach.

Edmund Pszczółkowski

STEFAN IGNAR

UMACNIAMY SOJUSZ ROBOTNICZO-CHŁOPSKI

DZIS sytuacja całkowicie dojrzała do tego, aby dokonać przełomu w spółdzielniach rolniczych. Zaistniały takie warunki, które pozwalają na gruntowne zmiany i co więcej, wymagają tych zmian. Jednym z podstawowych warunków, pozwalających każdemu chłopu i każdej chłopce brać rzeczywisty udział w zarządzaniu gminną spółdzielnią i jej gromadzkimi sklepami jest likwidacja analfabetyzmu. Bez umiejętności czytania, pisanie i rachowania kilka milionów ludności wiejskiej nie mogło brać udziału w zarządzaniu spółdzielni, w komisjach rewizyjnych, ani w komitetach członkowskich. Wzmocnienie kulturalno-oświatowej pracy gminnych spółdzielni — o czym mówią wnioski na I Kongres — ma właśnie wzmacniać udział szerokich mas w ruchu spółdzielczym.

Drugim warunkiem, który pozwala dziś na wprowadzenie do praktyki spółdzielczej zasad szerokiej demokracji, jest rozgromienie licznych klik kulacko-mikolajczykowski, które usiłowały utrzymać w swych rękach władzę nad spółdzielni. Do tego zwycięstwa przyczynił się w dużym stopniu Związek Samopomocy Chłopskiej, najbardziej odporny ze wszystkich masowych organizacji na wsi na próby dywersji ze strony kulackiej. Dzisiejsza rola ZSCH w stosunku do spółdzielni rolniczych — nie wygasa, nie kończy się. W dalszym ciągu zadaniem ZSCH jest aktywizacja mas chłopskich do współudziału w spółdzielczości rolniczej,

do społecznej kontroli nad pracą spółdzielczości rolniczej, do rozdzielnictwa towarów itd.

W szeregach członkowskich spółdzielczości samopomocowej wyrosły dziesiątki tysięcy chłopów i kobiet, partyjnych i bezpartyjnych, w komitetach członkowskich, w wielkich kampaniach skupu, w wykonywaniu planów kontraktacji.

Spółdzielnia rolnicza winna być przedsiębiorstwem zarządzanym przez członków. Chłopi — członkowie muszą mieć nie tylko prawo, ale i praktyczną możliwość wybierania i odwoływania zarządu, o ile zarząd ten nie wykonuje powierzonych mu zadań.

KAROL DRAŻYK

Dwie formy — jeden cel

Ze szczególnym zainteresowaniem, jako przedstawiciel prastarej, piastowskiej Ziemi Śląskiej, słuchałem przemówienia przedstawiciela Niemieckiej Republiki Demokratycznej, który w swoim przemówieniu zaznaczył, że chłopcy pracujący NRD wstąpili na drogę socjalistycznej gospodarki, na drogę spółdzielczości produkcyjnej. I właśnie jako członek tysięcy tysięcy spółdzielców produkcyjnych w Polsce jestem z tego dumny, że nasza rodzina we wszystkich krajach demokracji ludowej się powiększa i idziemy ramię w ramię.

Nie można spółdzielczości zaopatrzenia i zbytu oddzielać od spółdzielczości produkcyjnej. To są dwa zagadnienia na terenie wiejskim, które się bezpośrednio i ściśle łączą, bo są to dwie formy, mające jeden cel — zaprowadzenie

gospodarki planowej, gospodarki socjalistycznej na odcinku wiejskim, z jednej strony handlu socjalistycznego, z drugiej strony spółdzielczej gospodarki socjalistycznej, która jest podstawą, podwaliną nowego państwa, nowego ustroju socjalistycznego. W związku z tym chciałbym tu podać kilka faktów o pracy komitetów członkowskich, o jej rezultatach i wynikach. Za przykład niech posłuży praca komitetów członkowskich w gromadach: Kierunkowice, Mościanka, Milowice i innych. W ciągu ostatnich miesięcy powstały tam nowe spółdzielnie produkcyjne, a to dlatego, iż członkowie ci pracujący w tych komitetach, należąc się z pracy swojej wywiązali.

Karol Drazzyk
woj. opolskie

mi produkcji rolnej. Weźmy dla przykładu nawozy sztuczne lub środki owadobójcze. Wraz ze sprzedażą superfosfatu, czy azotoku, sklepowy winien mieć udział chłopu najprostszymi wskazówkami o tym, jak należy przechowywać i używać tych środków, umieć prowadzić reklamę środków chemicznych do walki ze szkodnikami. Powinien znać rozprawione przez spółdzielnię nasiona. Nie chodzi tu o to, żeby pracownik GS-u posiadał kwalifikacje agronoma, jakkolwiek wielu pracowników gminnych spółdzielni takie kwalifikacje posiada, lecz chodzi o to, żeby pracownik gminnej spółdzielni posiadał minimum przeszkolenia rolniczego — handlowego, które jest konieczne dla odpowiedniego powiązania spółdzielczości rolniczej z produkcją rolną. Tym bardziej sprawa ta staje się aktualna w dziedzinie kontraktacji, a zwłaszcza przy jej rozszerzaniu wśród chłopów, którzy dotąd nie brali w niej udziału oraz na nowo wprowadzone kultury rolne. Minimum przeszkolenia rolniczego wśród handlowców pozwoli na komasację w GS-ie rozproszoną na szereg instytucji kontraktacji.

Wielotysięczna rzesza pracowników spółdzielczości wiejskiej razem z rosnącą w radach spółdzielczych i komitetach członkowskich mają aktywistów spółdzielczych winna w niedługim czasie poszczynić się osiągnięciami we wzmożeniu spójni gospodarczej między miastem a wsią i pogłębieniu braterskiej współpracy pracującego ludu miast i wsi — sojuszu robotniczo-chłopskiego.

Stefan Ignar

W toku ciężkich zmagania klasowych o wyzwolenie naszego kraju, o utrwalenie i umocnienie władzy ludowej, jedyną gwarantką niepowinności i niezależności naszego kraju, o ograbienie naszej gospodarki ze zniszczeń wojennych, o stworzenie warunków dla wszechstronnego rozwoju kultury narodowej, o wykonanie wielkiego Planu 6-letniego i utrwalenie pokoju między narodami — wyrosła i umacnia się jedność moralna i polityczna narodu polskiego, jedność nieznaną narodom kapitalistycznym rozdartym zewnętrznymi i wewnętrznymi waściami, jedność narodu, który staje się narodem socjalistycznym.

Dzięki tej jedności zdobytej pod przewodem klasy robotniczej i jej rewolucyjnej partii wspólnym wysiłkiem klasy robotniczej, chłopów pracujących i pracowników umysłowych potrafilimy dokonać ogromnych przemian w sytuacji międzynarodowej naszego kraju. W żadnym mieście granica nasza nie jest więcej wystawiona na bezpośrednie sąsiedztwo wroga, a ze wszystkich stron odcinają nas sojusznicy i przyjaciele, wraz z nami stanowiący część składową wielkiego, miłardowego obozu pokoju, na którego czele kroczy potężne mocarstwo socjalistyczne — Związek Radziecki.

Dzięki tej jedności potrafiliśmy odbudować nasz kraj ze zniszczeń wojennych, wejść na drogę szybkiego, wszechstronnego i planowego rozwoju gospodarki narodowej, dzięki czemu Polska Rzeczpospolita Ludowa przestała być krajem biednym, bezbronny i zacołanym, wydanym na łup międzynarodowego kapitalu.

Dzięki tej jedności, czerpiąc pełną dłoń z bogatych, postępowych tradycji naszego narodu potrafiliśmy doprowadzić do wspaniałego rozkwitu i upowszechnienia kultury narodowej, umasowienia oświaty, podniesienia stanu zdrowotnego i zdolności do pracy najszerzych mas ludu polskiego.

Dzięki tej jedności potrafiliśmy załudnić i zagospodarować wydarte nam przed wiekami, a dziś przywrócone dzięki zwycięstwu sił postępu i sprawiedliwości w tej części Europy, w której zamieszkujemy, prastare ziemie piastowskie, doprowadzić do jedności z narodem przeszło milion Mazurów, Warmiaków, mieszkańców Ziemi Lubuskiej, Pomorza Zachodniego, Dolnego i Opolskiego Śląska.

Dzięki tej jedności w kraju, w którym przed wojną było tylko ok. 27% sitych, a ok. 40% niedożywionych i co najmniej ok. 33% stale głodnych — potrafiliśmy zaspokoić podstawowe, bytowe potrzeby mas ludowych i wejść na drogę, na której, nie bez trudności i w ostrej walce z nimi zdobywamy możliwości stopniowego i stałego podnoszenia stopy życiowej i poziomu dobrobytu mas ludowych w mieście i na wsi.

W oparciu o tę jedność, pod sztandarami Frontu Narodowego walki o pokój i Plan 6-letni idziemy do wyborów.

Pragniemy bowiem wcielić w dalszym ciągu w życie wielkie plany przebudowy Polski i przekształcenia jej w produkującą, wysoko przemysłowy kraj. Pragniemy bowiem wzmocnić siły ojczyzny, zabezpieczyć jej obronność i niepodległość, pokrzyżować nędzne plany niedobitków imperialistów i podżegaczy wojennych i innych niedobitków reakcji, którzy na próżno knują podstępne plany zakucia z powrotem w kajany narodów, które zdobyły wolność!

Pragniemy wspólnie zgodnym wysiłkiem pod przewodnictwem klasy robotniczej i jej partii dokonać zasadniczego przełomu w poziomie dobrobytu i warunków życiowych najszerzych mas ludzi pracy w Polsce.

Łączy więc nas jeden wspólny cel, jeden program realizowany od 8-miu lat przez władzę ludową.

I dlatego można być pewnym, że nadchodząca kampania wyborcza, która wyłoni Sejm, najwyższe przedstawicielstwo narodu polskiego, skupi jeszcze bardziej niż dotychczas w szeregach Frontu Narodowego wszystkich uczelnych patriotów, wszystkich uczelnych Polaków pragnących w myśl wskazań przywódcy narodu Prezydenta Bolesława Bierut utrwalenie pokoju między narodami, zapewnienia naszej ojczyźnie godnego miejsca wśród innych wolnych narodów świata.

TADEUSZ ORLEWICZ

Dymitrowgrad — miasto młodości

NAD dalekim Amurem młodzi radzieckie w latach drugiej pięciolatki stalinowskiej zbudowały wśród dzikiej tajgi Komsomolsk, pierwsze socjalistyczne miasto młodych, a z nim wielkie kombinaty przemysłu maszynowego i leśnego. Nad Maricą w Bułgarii, jak nad Amurem, powstało miasto młodych budowniczych socjalizmu — Dymitrowgrad. Nazwano je imieniem wielkiego wodza narodu bułgarskiego, gdyż on właśnie powierzył młodzieży bułgarskiej zbudowanie nad Maricą, na stepowej równinie Tracji, miasta młodości i twórczej pracy.

Wiosną 1947 roku Brygada zapalców przybyła na stację kolejową

Iwan Bojadżijew przyszedł ze wsi budować swoje socjalistyczne miasto. Dziś jest laureatem nagrody imienia Dymitrowa, racjonalizatorem, doskonałym organizatorem prac zbrojarzy. Młody Piotr Lizonow jest inżynierem. A z nimi dziesiątki, setki i tysiące w pracy zdobywało nowe kwalifikacje, w walce i pracy wyrastał wielki kolektyw socjalistyczny.

Mineło wiele lat, tam gdzie kiedyś nad brzegami Maricy chyliło się ku ziemi kilka wiosek, powstały nowoczesne dzielnice pięknego miasta. W wysokich, jasnych domach dzielnicy imienia Wasyla Kolarowa mieszkają robotnicy nowej elektrowni i górniczy nowej ko-

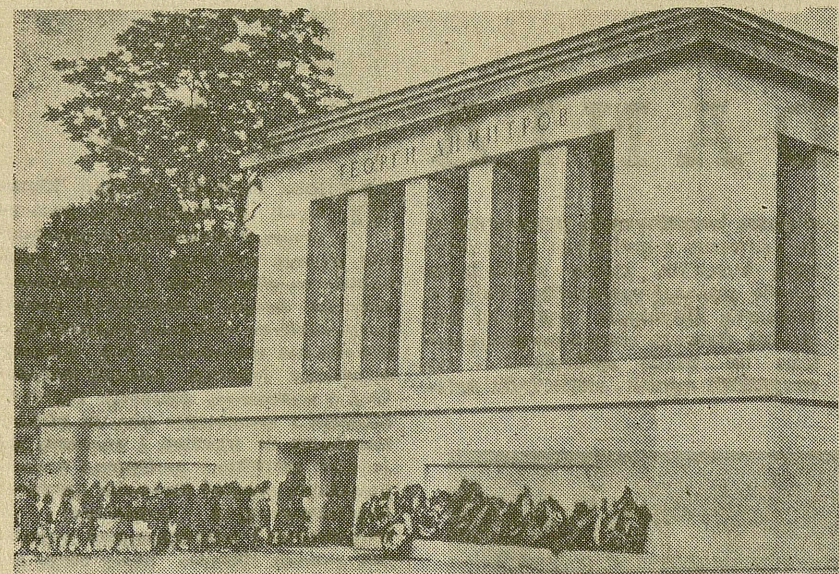
roku 70.000 ton nawozów sztucznych, dając tym samym rolnictwu bułgarskiemu w początkowym okresie swego istnienia 20 kg czystego azotu na każdy hektar ziemi uprawnej, czyli co najmniej połowę całego zapotrzebowania.

Lecz nie koniec na tym. W ciągu najbliższych lat powstanie kopalnia rud „Republika”. Obok niej — wielka huta. Zbudowana zostanie fabryka kotłów parowych, fabryka maszyn budowlanych, trzecia centrala termodynamiczna „Marica II”, która łącznie z już uruchomionymi da tyle energii elektrycznej, ile miała do dyspozycji Bułgaria kapitalistyczna na obszarze całego kraju i pokryje całe zapotrzebowanie Dymitrowgradu a rolnictwu da nadto przeszło milion kilowat-godzin energii elektrycznej rocznie.

Budowniczym Dymitrowgradu — to głównie młodzież chłopiska. Więc też pogłębia się i poszerza sojusz robotniczo-chłopski. I krzepnie na równinach Tracji jak w całej Bułgarii gorąca miłość do Związku Radzieckiego, który nie szczędził i przy tej budowie wszechstronnej pomocy. Przysyłali radzieccy specjaliści. Radzieckie maszyny budowlane, koparki, traktory, dźwigi, transportery, zgarniarki wspierały wysiłki robotników, wskazywały na ogrom potęgi technicznej kraju wielkich przyjaciół narodu bułgarskiego.

Kiedy ostatni spawacz, ostatni robotnik zeszli ze swego posterunku po zakończeniu prac nad ukończeniem wielkiego kombinatu produkcji azotu, na dominującej nad Dymitrowgradem wieży zawisł wielki czerwony sztandar. Na nim dwa tylko słowa: Chwała Stalinowi! Dwa słowa, które wyrażają wszystko: i sens budowy wielkiego socjalistycznego miasta i wdzięczność narodu bułgarskiego za pomoc, przyjaźń i przykład.

Tadeusz Orlewicz



Mauzoleum Dymitrowa

wa — Rakowska. Inżynierowie, technicy, robotnicy — młodzież, zorganizowana w Dymitrowskim Związku Młodzieży Ludowej; wśród nich był Pancez Kubadinski, były dowódca oddziału partyzanckiego. Był także Iwan Tiodorow, późniejszy sekretarz miejskiego komitetu Partii, wszyscy młodzi i wiekiem i duchem. Zastali pustkowia. Bo Rakowska, podobnie jak pobliskie Maryjno — to małe wioski z kilkudziesięciu chałupami, małe poliska pomidorów i kukurydzy, wokół jak okiem sięgnąć — niegościnna, ułoga pustka. W dni pogodne horyzont ożywia dalekie ciemne pasmo Gór Rodopskich. Ale oko znudzone jednostajnym widokiem powoli rozróżnia rozrzucone na dużej przestrzeni biedaszyby. To jedyny znak, że w tej opuszczonej, zapadłej okolicy jest węgiel. Stąd też wynika decyzja Partii, aby właśnie tu powstało miasto.

Rozpoczęły się dni morderczej, trudnej pracy. Za pierwszymi brygadami poszli inni. Zaludniać się zaczęli Rakowska i Maryjno nowymi ludźmi. Spali w szalaszach, wodę nosili wiadrami, walczyli z pustkowiem i siłą, wiatrami jesiennoimi i ostrymi podmuchami zimy.

Budowali pierwsze wykopy pod pierwsze fundamenty, przeprowadzali badania terenu. Walczyli z akcją sabotażową agentów Trajczko Kostowa.

Kiedy w roku 1949 w Dymitrowgradzie powstała dopiero zarys wielkiego działu, kiedy widać było jedynie wielkie głębokie wykopy, prowizoryczne baraki, pomocnicze linie kolejki wąskotorowej i pierwsze rusztowania budujących się domów, młodzież widziała już jak na dłoni, gdzie powstaną fabryki, elektrownie, kopalnie i poszczególne dzielnice miasta. Zylł wspaniałą wizją Dymitrowgradu podczas gdy przygodnie podróżni nie widzieli nad wykopy i chaos rusztowań.

Partyzant Pancez Kubadinski został dyrektorem budowy miasta.

palni. Na spadzistym wzgórzu inna dzielnica — imienia Młodej Gwardii — szerokie ulice, kwiatniki i domy, różnokolorowe, radosne domy robotnicze. W centrum bloki wielopiętrowych budynków, to dzielnica imienia marszałka Tolbu-

china.

Niziułkie chaty wsi Rakowska ustąpiły miejsca wielkim hotelom, gmachom kultury. Zniknęły błota i moczary, powstały piękne parki. Ale Dymitrowgrad to nie tylko wyrosłe na pustkowiu miasto. To nowy potężny ośrodek przemysłowy, którego produkcja ma przeobrazić Trację i w sposób decydujący wpłynąć na szybszy niż dotąd, rozwój uprzemysłowienia całego kraju. Dymitrowgrad otacza 15 kominów, wokół kopalnie, wielkie dworce porywa ogromem przeładunku, tysiącami pasażerów. Wielokilometrowe rozgałęzienia kolejowe docierają w głąb terenów po lewej i prawej stronie Maricy, suną po cięgach po węgiel, nawozy sztuczne, cement.

W roku 1950 oddano do użytku wielką cementownię „Wulkan” i zakłady eternitowe. Dzięki ich produkcji Bułgar i w znacznym stopniu uolnili się od importu rur metalowych, zastępując je z powodzeniem wyprodukowanymi w dymitrowgradzkich zakładach rurami az estowo-cementowymi. Ruszyło nowe, Marickie Zagłębie Węglowe, niedgdy siedlisko niedźnych biedaszybów, dziś teren nowoczesnych kopalni jak „Młoda Gwardia”, „Marica”, „Marino”. Zadmityły wysokie kominy fabryki urządzeń wodociagowych i kanalizacyjnych. Ruszyła pierwsza w Dymitrowgradzie elektrownia ciepła „Marica II”.

Na dwa lata przed terminem zakreślonym planem robót uruchomiono centralę termodynamiczną „Marica III” o mocy 37 tysięcy kilowatów. Na dwa lata przed terminem ruszyła ogromna fabryka związków azotowych imienia Stalina, produkując już w pierwszym

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

HENRYK WANDOWSKI

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

PIERRE GEORGE

O energii atomowej

(Fragment większej całości)

W OBEC olbrzymiego marnotrawstwa ropy naftowej na kontynencie amerykańskim — 400 milionów ton rocznie — w obliczu rezerw światowych szacowanych na niespełna 60 miliardów ton, a także biorąc pod uwagę trudności na jakie natrafiają towarystwa naftowe ze strony narastającego oporu narodowego przeciw eksploatacji źródeł nafty w szeregu krajów, zajęto się sprawą zastąpienia energią atomową produktów naftowych w energetyce transportu. Konieczność, jak dotąd niepokonalna, umieszczania aparatury w ciężkich zamknięciach ochronnych, nie daje na najbliższą przyszłość widoków innego zastosowania energii atomowej poza napędem okrętowym.

Wydaje się natomiast rzeczą znacznie łatwiejszą zastąpienie energii atomową energii cieplnej węgla, lub też energii kinetycznej wody dla wytwarzania prądu elektrycznego, z tą olbrzymią przewagą, że wytwarzanie prądu odbywać się może wszędzie, na bezwodnej pustyni, czy w środku kontynentu najzupełniej pozbawionego paliwa mineralnego (np. w Afryce). Jest bowiem rzeczą technicznie łatwą wydzielenie wielkich jednostek, dostarczających drogą reakcji łańcuchowej, regulowanej i opóźnionej w zależności od potrzeb, ogromnych ilości energii cieplnej, przemienionej na elektryczną, przy czym minimalna moc każdej takiej opalanej jednostki wynosiłaby zdaniem techników ok. 75.000 kw.

I tu nasuwa się pytanie, dlaczego Stany Zjednoczone nie zapoczątkowały gospodarczego użytkowania energii atomowej?

Wobec olbrzymiego marnotrawstwa ropy naftowej na kontynencie amerykańskim — 400 milionów ton rocznie — w obliczu rezerw światowych szacowanych na niespełna 60 miliardów ton, a także biorąc pod uwagę trudności na jakie natrafiają towarystwa naftowe ze strony narastającego oporu narodowego przeciw eksploatacji źródeł nafty w szeregu krajów, zajęto się sprawą zastąpienia energią atomową produktów naftowych w energetyce transportu. Konieczność, jak dotąd niepokonalna, umieszczania aparatury w ciężkich zamknięciach ochronnych, nie daje na najbliższą przyszłość widoków innego zastosowania energii atomowej poza napędem okrętowym.

Wydaje się natomiast rzeczą znacznie łatwiejszą zastąpienie energii atomową energii cieplnej węgla, lub też energii kinetycznej wody dla wytwarzania prądu elektrycznego, z tą olbrzymią przewagą, że wytwarzanie prądu odbywać się może wszędzie, na bezwodnej pustyni, czy w środku kontynentu najzupełniej pozbawionego paliwa mineralnego (np. w Afryce). Jest bowiem rzeczą technicznie łatwą wydzielenie wielkich jednostek, dostarczających drogą reakcji łańcuchowej, regulowanej i opóźnionej w zależności od potrzeb, ogromnych ilości energii cieplnej, przemienionej na elektryczną, przy czym minimalna moc każdej takiej opalanej jednostki wynosiłaby zdaniem techników ok. 75.000 kw.

I tu nasuwa się pytanie, dlaczego Stany Zjednoczone nie zapoczątkowały gospodarczego użytkowania energii atomowej?

Pierre George

*) S. H. Schurr i J. Marshak. *Aspekty gospodarcze energii atomowej, praca zlecona Komisji Co-ulewsa dla Badań Ekonomicznych, Princeton, 1950, str. 236 i mapa.*

Z nowej literatury bułgarskiej

DOTYCHCZAS znaleźliśmy literaturę bułgarską niemal wyłącznie z twórczości Iwana Wazowa. W ostatnich jednak latach nasze wydawnictwa przystąpiły do szerzej popularyzacji współczesnej literatury bułgarskiej, która podobnie jak nasza, nawiązując do swoich najlepszych tradycji literackich, coraz skuteczniej posługuje się metodą realizmu socjalistycznego.

W FASZYSTOWSKICH WIEZIENIACH

Bułgaria burżuazyjna była jednym z tych państw, które zawarły sojusz z Hitlerem po rozpadnięciu przezeń pozoji wojennej. Boris III, premier Fiłow, aka kilka będącą wówczas u władzy wysłała dobrą koniunkturę dla siebie. Teraz już nic nie stało na przeszkodzie, aby wprowadzić prawdziwie gestapowskie i esesmańskie metody walki z działaczami rewolucyjnymi — tępici ich z całą zaciekłością, wspomagając się moralnym i faktycznym poparciem silnego sprzymierzeńca.

Emil Manow, z zawodu prawnik — pisarz z przypadku, swoją kronikę „Wieżnia” poświęca ukazaniu dyskryminacji i prześladowania działaczy politycznych, ukazującą całą skalę środków, jakimi dysponowała policja bułgarska w walce z „czarną zarazą”. Autor, który przeżywał kilka lat w więzieniu jako działacz partyjny — opisuje ze wszystkimi szczegółami metody faszystowskich oprawców, tworząc kronikę, przypominającą niekiedy słynny „Reportaż spod szubienicy” Fuczika. Dwa największe więzienia bułgarskie: sofijskie i pleweńskie z trudem mogły pomieścić wszystkich więźniów. W celach, gdzie normalnie przebywało 5 do 8 ludzi, teraz gnieździło się po 12-15 osób, w okropnych warunkach. Żywność była marna i podawano ją w skąpych dawkach. Więźniów strzegły specjalne oddziały policji więziennej, złożone z karierowiczowskich zaprzaniów. Władze raz po raz urządzały procesy pokazowe, owe miniaturowe procesy lipskiego, równie jak on nieudane. Chodziło o „zdemaskowanie” komunistów i odstraszanie innych od pojęcia w ich ślady. Jeden z takich procesów opisuje Manow. („Fryzjer” ogołił nas i ostrzygł. Zabieg ten był zrobiony celowo: chciano nas oszpecić i przedstawić w odpowiednim stanie sądowi i publiczności... (Dano nam) okropne stare łachmany — brudne i żółte od ciągłego użycia i prania, z podartymi połami i dziurami na łokciach... „Nasz wygląd miał przejąć sędziów, a publiczność — przejąć obywateli; nasze właściwe oblicze zostało zatarte. W tych przygotowanych uwidocznili się perfidia katów policyjnych”. Ale wszystko to nie przesłoniło narodowi prawdy o faktycznym stanie rzeczy.

Wrzesień 1944 przyniósł narodowi bułgarskiemu wyzwolenie narodowe i społeczne. Teraz sytuacja się zmieniła. Byli więźniowie stanęli u steru państwa, jak np. Dobri Terpeszew, obecny minister Opieki Społecznej, członek KC Bułgarskiej Partii Komunistycznej, który wspólnie z Manowem przeżywał w jednym więzieniu. Byli ciemiężcy oddani: zostali pod sądowi i sąd ludu. Książka Manowa ukazuje perspektywę sądu nad faszystami, rysując niemożliwy hart komunistów, odbiega daleko od jałowego cierpienniczego literatury martyrologii więziennej, stanowiąc jeden z najwybitniejszych utworów nowej literatury bułgarskiej.

DROGA DO AWANSU

Książka Pawła Weżynowa**) zawiera dwa opowiadania, w których autor odzwierciedla stosunki panujące w ludowym wojsku bułgarskim. Weżynow jest dobrym, bystrym obserwatorem, potrafi wyrazić zarysować psychikę bohaterów

UMOCNIENIE SPÓJNI MIĘDZY MIASTEM I WSIA

(Fragmenty przemówień działaczy chłopskich na I Kongresie Spółdzielczości Zaopatrzenia i Zbytu)

ZDZISŁAW LIWOSZ

Uwaga na kontraktację!

CHCĘ dorzucić kilka słów na temat kontraktacji roślinnej i zwierzęcej jako sposobu planowego oddziaływania na produkcję i planowego zabezpieczenia dostaw.

W tegorocznej wiosennej akcji kontraktacji roślin przemysłowych nasz pow. Lubaczów wykonał dla CRS-u: ziemniaków jadalnych 92,8 proc., maku niebieskiego zakontraktował — 91,6 proc. Dla PZZ: 86,7, dla Centrali Nasionnej — 102,4 proc. i dla CM (ziemniaków do tuczu) — 75,2 proc.

To jeszcze mało, lecz w stosunku do roku ubiegłego kontraktacja roślin poważnie się rozszerzyła w sensie asortymentowym i powiększyła, jeżeli chodzi o areał. Wskaźnik wzrostu wynosi 125 proc. Równocześnie aparat kontraktacji GS i PZGS lepiej aniżeli w roku ubiegłym pracował i lepiej aniżeli w roku ubiegłym wiązał się z terenem.

Jeżeli w 1951 r. aktywni kierownicy grup producentów z małymi wyjątkami nie byli w kontraktacji wykorzystani (utarla się nawet niezdrowa opinia, że na kierownikach grup producentów nie można się opierać, bo są mało aktywni i uchylają się od pracy) — to w roku bieżącym nastąpił tu zasadniczy zwrot: do kontraktacji zostali masowo włączeni chłopcy mało i średniorolni, występujący jako agenci kontraktacji.

Tak więc, mimo niewykonania w pełni zadań dla wszystkich central branżowych (a dlaczego — powiem za chwilę) dokonane zostały dwie zasadnicze rzeczy: wprowadzono się w teren nowe uprawy (mak i kukurydza) i mocno rozszerzono się prowadzone już w roku ubiegłym planacje oraz włączono do kontraktacji kilkudziesięciu aktywnych wiejskich, znających teren i znajdujących właściwy język w propagowaniu i przekonywaniu sąsiada-chłopa o obopólnych korzyściach, wynikających z umowy kontraktacyjnej.

W roślinnej kontraktacji tegorocznej mieliśmy jednak nadal błędy i niedociągnięcia. Do najbardziej istotnych należy sprawa wciąż jeszcze niedostatecznej pracy z agentami. Sam dobór agentów przebiegał chaotycznie i żywiołowo; w konsekwencji, kiedy została przeprowadzona w marcu weryfikacja, ujawniła ona szereg niewłaściwych ludzi — często z wrogiego, kułackiego środowiska. Kilkunastu agentów trzeba było zwolnić, powstały luki, które w okresie wiosennych prac trudno było wypełnić nowymi ludźmi, a zapelniało się je pracownikami GS lub PZGS, co od razu wprowadzało atmosferę aktywności i gorączki w pracy. Miesiące styczeń i luty, kiedy chłop ma najwięcej czasu, kiedy najłatwiej go w domu zastać i najszybciej rozmówić o korzyściach kontraktacji, dla samej kontraktacji nie zostały więc w pełni wykorzystane. Poważnym błędem organizacyjnym był brak szkolenia agentów w pierwszym kwartale. Idealnie byłoby, gdyby wszyscy agenci zorganizowani wiosną br., wywodzili się spośród kierowników grup producentów mimo — jak już wspominałem — że istniały nieuzasadnione spory przeciwko pracy tych kierowników. W większości byli to jednak ludzie nowi, choć aktywni (mówię oczywiście nie o agentach kułackich, których musielismy usunąć), ludzie, którzy z techniczną stroną kontraktacji, sposobem wypełniania i objaśniania umów, byli bardzo słabo zapoznani — a wiadomo, że te momenty są czasami decydujące w tym, czy rolnik podpisze umowę, czy jej nie podpisze i jeszcze odmówi od podpisania sąsiada. Jeżeli teraz weźmiemy pod uwagę działalność wroga klasowego, to jasne jest, że tego rodzaju agent, choć czasami ideologicznie dość mocno przygotowany, lecz nie przygotowany od strony zawodowej, stawał się łupem roboty kułackiej.

Zarówno PZGS i GS nie otoczyły należytej opieką agentów, nie wytworzyły im właściwej atmosfery działania, polegającej na opieraniu się w pracy o organizację gromadzką i w ścisłym współdziałaniu z tymi organizacjami. Kiedy spytałem jednego

z agentów małopolskiego chłopca ob. Marka z gromady Lipsko, jak pomaga mu koło ZSCH, stwierdził, że nie tylko ZSCH, ale i ZSL i inne gromadzkie organizacje pomagają mu bardzo słabo (Podst. Org. Part. na terenie gromady Lipsko nie ma). Ob. Marek mówi, że dużą pomocą w kontraktacji byłaby odpowiednio opracowana instrukcja, która w sposób przystępny, tak na „chłopski rozum”, mówiłaby o warunkach kontraktowania wszelkich upraw, podawałaby przykłady i sposób dokonywania pomiarów, uczyła przekonywać rolnika o słuszności kontraktacji.

Chcę zaznaczyć, że brak udziału gromadzkich organizacji w pracy przy kontraktacji jest w gminie Lipsko zjawiskiem powszechnym i nie przypadkowo wyniki kontraktacji są tam najgorsze ze wszystkich gmin.

Druga poważna sprawa to realność zobowiązań. W żywcu mięsno-słoniowym wynosi on w naszym powiecie średnio 93 proc. w bekonach — aż 98,8 proc. Na tym odcinku posiadamy wypróbowane formy działalności, posiadamy stary i wypróbowany personel GS-u i teren nawykły do tego rodzaju kontraktacji. Ale w kontraktacjach roślinnych realność zobowiązań pozostawia wciąż dużo do życzenia i choćby pobieżnie przyglądając się wykonywanym zobowiązaniom wskazuje, że zawierane umowy były nieradne, często fałszowane, że instytucje kontraktacyjne „współzawodniczą” w pogoni za wykonaniem planu za wszelką cenę, osłoniły znaczenie zobowiązań podejmowanych przez producentów i doprowadziły do tego, że rolnik często nie traktował umowy poważnie. Szczególnie mocno wystąpiło to w zesłorocznej kontraktacji ziemniaków. W naszym województwie był nieurodzaj ziemniaków i rolnicy uchylali się od wykonywania zobowiązań, tłumacząc się że zobowiązań takich nie podejmowali. Niestety — wprawdzie w nielicznych wypadkach — ale jednak zostało stwierdzone, że były umowy fałszywie fikcyjne lub fałszowane.

Na VII Plenum Prezydent Bierut mówi o kontraktacji jako formie wypierania prywatnych pośredników z obrotu towarowego między wsią a miastem, stawia zadanie rozszerzenia kontraktacji. Stąd dla nas pracowników aparatu spółdzielczego pozostała konieczność obnażenia zauważalnych błędów, zrewidowania dotychczasowej działalności, właściwego wyciągnięcia wniosków. Wydaje mi się, że należy: 1) doprowadzić plany kontraktacji w terminie możliwie najwcześniej w teren do rąk agenta i unikać poprawiania planów w czasie trwania kontraktacji — 2) jak najszybciej uzupełnić liczbę agentów i okres zimowy wykorzystać na ich intensywniejsze doszkolenie ideologiczne i fachowe — 3) oprzeć się mocniej niż dotychczas w pracy kontraktacyjnej na dotychczasowych organizacjach partyjnych i prosić organizacje partyjne o pomoc dla agentów, zainteresować pracami kontraktacyjnymi gminne rady narodowe i domagać się, aby swoim autorytetem poparli pracę agentów i wytworzyli im klimat ważności — stosowny do powagi wykonywanej pracy — 4) otoczyć agentów kontraktacji szeroką i systematyczną opieką ze strony GS-ów i równocześnie zapewnić im korzyści materialne wynikające z ich pracy, zapewnić im stały i systematyczny instruktor — 5) zwrócić uwagę na realność zobowiązań i bezwzględnie przestrzegać warunków umowy i obowiązków wynikających z umowy przez obydwie strony, oraz ściśle egzekwować umowy — 6) domagać się od organizacji ZSCH, aby w sposób wynikający z jej programu statutowego włączyła się czynnie do pracy terenowej nad podnoszeniem rozmiarów kontraktacji i nad jej szerokim rozpowszechnianiem wśród mas chłopskich — 7) uruchomić odpowiednią propagandę wydawniczą, określając korzyści kontraktacji, dostarczyć agentowi broszury określające jego obowiązki i ułatwiające mu pracę.

Zdzisław Liwosz

Lubaczów — woj. warszawskie

MIECZYSLAW JANECKI

Więcej opieki nad młodzieżą

CHCIAŁEM podzielić się kilkoma spostrzeżeniami o pracy naszych gminnych spółdzielni w województwie olsztyńskim.

Najpierw parę słów o pracujących w spółdzielni młodzieży autochtonicznej mazurskiej i warmińskiej, młodzieży miejscowego pochodzenia. Wiemy, że wśród Mazurów i Warmińców jest dużo dobrych patriotów, którym sprawa wolności i postępu była drogą, którzy swoją pracą patriotyczną przyczynili się do tego, że Ziemia Mazurska i Warmińska powróciły do Polski.

Młodzież ta, która przeszła w większości przez uniwersytety ludowe, stawia obecnie często pierwsze kroki na drodze awansu społecznego. Pracuje ona, według obserwacji i opinii dyrekcji CRS, bardzo dobrze. Ale jest jedno niebezpieczeństwo, odrywa się ona częściej od swojej gromady. Mam

takie przykłady, że młoda dziewczyna, absolwentka uniwersytetu ludowego, która powinna pracować właśnie w gromadach o przeważnie ludności autochtonicznej, aby przekonywać tamtejszą ludność i włączać ją do budownictwa naszej Ojczyzny, po dwóch latach pracy w PZGS-ie nie potrafi znaleźć z nimi wspólnego języka, nie umie szeregu rzeczy, nie zna aktualnych zagadnień itp.

Wydaje mi się, że kierownictwo PZGS-ów i CRS-u powinno otoczyć tę młodzież szczególną opieką, powinno wzmocnić ją politycznie, aby z nich wyrósł świadomy budowniczo socjalizmu. Trzeba więc tę młodzież szanować i pielegnować. Trzeba, żeby ona odczuła opiekę naszej władzy ludowej, żeby odczuła opiekę naszej Partii i Rządu.

Mieczysław Janicki
Olsztyn



Foto — CAF

ANNA WILIAM

Więcej kobiet

JESTEM żoną robotnika i nigdy nie marzyłam o tym, abym mogła być na kierowniczym stanowisku. To była mrzonka. Przed wojną — pamiętam to wszędzie — większość kobiet pracujących, które to były? Służąca. Pamiętam wszystkie, jakie kobieta pracująca u kulaka była wyzyskiwana, bita, ośmieszana. A dziś?

W naszym województwie szczytnym w samych grupach plantatorów mamy ponad 20.000 kobiet. W GS pracuje ponad 1.000 kobiet. W samorządzie spółdzielczym liczba kobiet przekroczyła półtora tysiąca.

Ale to jest jeszcze o wiele za mało. I dziś tu na Kongresie my, kobiety, powinniśmy stanowić 80 proc. w stosunku do delegatów — mężczyzn. My, kobiety, dobrze czujemy ból i zagadnienia zaopatrzenia. I dlatego powinniśmy stanowić na Kongresie nie tak małą liczbę jak obecnie.

W kontraktacji, to wiemy z własnego doświadczenia, jeśli się pośle

jakiś referent — nie uchybiłbym zdolnościom mężczyzn — kolegów — wyniki nie są tak dobre, jak kiedy się pośle kobiety. Z pewnością mówi się utartym zwyczajem, że gdzie diabeł nie może, tam baba posie. Ile razy my, kobiety idziemy — czy to, jeśli chodzi o kontraktację oleistych, czy trzody chlewnej, czy też gdy brakuje jeszcze pewnej ilości do ogólnego planu (a wiemy, że areał ziemi jest jeszcze wolny) — i gdy staniemy do użytku w gospodarstwie z kolegami, dzieląc się na pół gromadami, to zawsze zrobimy więcej. To nie są czcze frazesy, ale jest to oparte na prawdzie, na praktyce. Ważną rolę tu odgrywa dar kobiet przekonywania. Nieprawdą jest, aby rolnik mówił: „aby babę się pozbyć, to na odczepne już zrobić”. My umiemy ich tak przekonać i upłynąć wychowawczo, że zrobimy swoją robotę.

Anna Wiliam

Dobra, pow. Nowogard.

KATARZYNA SZUMIŁO

...ale trzeba z nimi pracować

CZESTO organizacje, wysuwające nas, kobiety, na stanowiska kierownicze, nie opiekują się nami a po popełnieniu błędów tak mocno, bardzo mocno nas biją, że niejedna, która nie jest zahartowana, zatłumuje się, odchodzi w cień i jest jako pracownik skoczona. Chcielibyśmy, aby organizacje, które wysuwają kobiety na stanowiska kierownicze, otoczyły je opieką. A przede wszystkim powinny być otoczone większą opieką Kola Gospodyń, a Kola Gospodyń powinny więcej współpracować z kobietami, które są na stanowiskach w GS-ach, jak również uaktywnić te kobiety, które są jeszcze w domu.

Mówi się — jak najwięcej kobiet w Komitetach Członkowskich. To bardzo pięknie. Gdy były wybory w 1949 roku, to masa kobiet weszła do tych komitetów, a dziś nie wiadomo co się z tymi kobietami stało. Są kobiety, które pracują dobrze i którym ZSCH się opiera, ale są i takie kobiety w Komitetach, które do dnia dzisiejszego nie były ani razu na zebraniu. Nie wystarczy więc wybrać

kobiety do komitetu, ale trzeba z nimi poważnie pracować. Tymczasem ZSCH zlikwidował w Powiatowych Zarządach Instruktorów Rad Kontrolnych, które opiekowały się komitetami. Nie ma tego etatu, a komitety zawisły w powietrzu, nie są otoczone opieką ze strony ZSCH, ani ze strony PZGS.

I jeszcze jedna sprawa. W gromadzie naszej Wierchowice jest duże Kolo Gospodyń i ok. 30 kobiet przystąpiło do konkursu hodowlanego. I znów nie ma współpracy z GS. Mówi się, że to jest wina nie GS-ów, lecz Kola. Prawda, że nie poprosiliśmy ich na zebranie, żeby się zainteresowali i współpracowali z nami. Ale jest wina Związku Samopomocy Chłopskiej i PZGS, że ze sobą nie współpracowały, że ZSCH nie interesowało, że są takie konkursy i czego potrzebują.

Na koniec apel do kobiet: Musimy się starać, żeby nas wybierano na stanowiska, ale musimy się uczyć i jeszcze raz uczyć.

Katarzyna Szumiło

Wierchowice, pow. Miłicz

WŁADYSŁAW ZIĘCIK

Przełamaliśmy stary styl pracy

NASZ PZGS w Głogowie powstał w roku 1943 na bazie różnych zlepków spółdzielni społemońskich i przejął 14 niedźwiniach kramików. Obecnie prowadzimy 165 sklepów i PSD, a 14 stacji oraz 28 sezonowych punktów skupu zboża pozwala chłopom bez trudności sprzedać swoje nadwyżki. Jednak dopiero w I-szym półroczu 1952 r. udało nam się wykonać plan skupu — i to w 118 proc. Podobnie w dziedzinie zaopatrzenia — po raz pierwszy od istnienia PZGS — plany w detalu i hurtie za r. 1951 zostały przekroczone o 6 proc., a za I-sze półrocze bieżącego roku o 6,8 proc. Czemu zaudzieliśmy ten procent?

Przed wszystkim przełamaniu starego stylu pracy w terenie. Jeszcze rok temu PZGS kierował GS-ami w formie dyktowania z biurka.

Pracownicy wyjeżdżający w teren ograniczali się do „sfotografowania” istniejącego stanu rzeczy (a i to nie zawsze im się udawało) — i z tym wracali do PZGS. Nie było mowy o właściwym instruktażu, o unikliwej analizie przyczyn i źródeł zła, mającego miejsce w GS,



Foto — CAF

nie mówiąc już o rozwiązywaniu zagadnień na miejscu.

Ale w połowie roku 1951 zarząd PZGS potrafił wyciągnąć odpowiednie wnioski. Obecnie wszyscy wyjeżdżający pracownicy w teren przygotowują się, zbierając odpowiednie materiały w działach branżowych, omawiają wspólnie aktualne zagadnienia — i w ten sposób przygotowani mogą przeprowadzić swe czynności ku zadowoleniu ogółu.

Zdarzały się wypadki, że niektórzy pracownicy nie stosowali się do tych wytycznych, w wyniku czego zarząd PZGS, kiedy wyzerpał się wszystkie inne środki decydował się usunąć ich ze swego grona, jak np. instruktora piekarni ob. Czajkowskiego i instruktora skupu ob. Doszczaka. W ten sposób sami pracownicy wyeliminowali ze swego grona ludzi niezastępowalnych na zaufanie mas chłopskich.

Chciałbym zaznaczyć, że niewłaściwy, przewidywany już na szczęście styl pracy w terenie cechował nie tylko pracowników PZGS, ale i okręgu w Zielonej Górze a nawet niektórych inspektorów Centrali. W wyniku konsekwentnej polityki kadrowej — mimo, iż przekazyaliśmy kilku wartościowych pracowników do rad narodowych i aparatu partyjnego, potrafiliśmy do dnia dzisiejszego wychować odpowiednią kadrę pracowniczą, rekrutującą się z młodzieży pochodzenia ze środowisk nam bliskich, która już w poważnym procencie przeszkolona w naszym pionie i ustawiona na odpowiednich stanowiskach. Zadaniem naszym będzie otoczyć tych ludzi właściwą i codzienną opieką która zagwarantuje zahamowanie płynności kadr. Będziemy walczyć o to, by nasza praca stała się procesem nauczania i wychowywania kadr spółdzielczych.

Władysław Zięcik
PZGS Głogów

STANISŁAW OKARMUS

Nie ustawiamy w walce z wrogiem

P RACA nasza w początkach była ciężka, bandy mikołajczykowskie rozbiły i rozkradały mienie społeczne. W naszym powiecie w gminach: Ruszcza, Mogiła, Czernichów, Liszki, rabunki takie w tym czasie miały charakter masowy.

Do zarządów gminnych spółdzielni wkradali się wrogowie władzy ludowej: kułacy i spekulanci, prowadząc szkodliwą dywersyjną robotę. Na przykład w gminie Ruszcza ob. Nowak spowodował rozbranie budynków gospodarczych na terenie resztówki, aby z cegły rozbiorowej wybudować sobie własny dom. Winny tego sabotażu ob. Nowak w późniejszym terminie został ukarany.

W okresie tym wielu spółdzielców starego typu, przyzwyczajonych do kapitalistycznych form handlu sprzed 1939 r., cechowała chęć zysku i własnych korzyści. Uprawiali handel a nie troszczyli się o zaspokojenie potrzeb podstawowych mas chłopskich.

My młodzi, aczkolwiek przejęci duchem rewolucyjnym, nie zawsze zgadzaliśmy w należyty stopniu tym zagadnieniom. Dopiero w 1948 r. dzięki pomocy Polskiej Partii Robotniczej, która wskazała właściwą drogę spółdzielczości wiejskiej, przełamaliśmy niewiarę we własne siły i wkroczyliśmy na drogę rozwoju. Przytoczę dowód tego — gmina, do której należałem w Swoszowicach w 1945 r. miała 1 sklep spożywczy, a tówar wożony w plecaku na rowerze z pobliskiego Krakowa. Obecnie spółdzielnia nasza posiada 13 sklepów gromadzkich, 3 sklepy branżowe, 2 gospody, 3 piekarnie, 1 masarnię, a tabor nasz składa się z 5 koni, którymi rozwozimy towar na sklepy, jak również zwozimy nadwyżki skupione u rolnika. Plany gospodarcze wykonane są u nas z nadwyżką.

Osiągnięcia te jednak nie przyszyły nam łatwo i dlatego chciałbym zatrzymać się nad plotką kułacką, jako jedną z metod wrogości oddziaływania na chłopów, oraz nad metodami walki jaką stosowaliśmy. Aby poderwać zaufanie do naszej spółdzielni wróg uciekał się do różnych podstępów. Rozeszła się kiedyś plotka, że spółdzielnia sprzedaje chleb wypiekany z mąki mieszanej z fasolą i bobem. Autorem jej był zausznik kułacki i spekulant miejscowy prywatny piekarz, który miał na celu odciągnięcie konsumentów od spółdzielni, poderwanie zaufania do niej, aby mógł w dalszym ciągu czerpać zyski ze swojej piekarni i uprawiać spekulację na mące. Walka zalogi piekarni o jakość produkcji obalila fałszywą propagandę.

Gdy do GOM-u sprowadzono siewniki i traktory, wróg zniechęcał chłopów do korzystania z nich — mówiąc, że zbory się nie udadzą i że kto będzie pożyczal maszyny, wciągnięty zostanie do spółdzielni produkcyjnej. Siewcami tych plotek byli kułacy, mający na celu u-

trzymanie chłopów przy starym sposobie uprawy roli, a tym samym uzależnienie go gospodarczo od siebie. Trzeba było dużo cierpliwości, przekonywania, aby ludziom wykażać bezpodstawność wrogiej plotki. I wkrótce znów fakty przekonały chłopów o wyższej jakości produkcji otrzymanej w wyniku zastosowania maszyn rolniczych.

Różne są formy wrogiej działalności. Były u nas wypadki jawnego i ukrytego ataku wroga na mienie społeczne. W gminie spółdzielni Liszki prywatny rzeźnik ze Skawiny Hieronim Sikorski, któremu z braku czujności udało się przeniknąć do naszego aparatu — spowodował manko na kwotę około 7.000 zł. Złoczyj mienia społecznego został oddany w ręce sprawiedliwości, zaś machinacje spekulancie zostały przecięte.

Ważnym sposobem walki z plotką kułacką oraz szkodnictwem gospodarczym jest uważne rozpatrywanie skarg i zażaleń ludności. Pozwalają nam one na wykrycie i unieszkodliwienie działalności wroga klasowego, który różnymi drogami i sposobami wkłada się do naszego aparatu, prowadząc swoją rozbiłkową i szkodliwą działalność.

Ostatnio w gminie spółdzielni Czernichów zażalenie mieszkanców gromady Nowa Wieś, pozwoliło zdemaskować byłego prywatniarza ob. Przebindę, który pełniąc funkcję sklepowego, kumoterską sprzedażą towarów zaskarbiał dla siebie względy kułackie, a zniechęcał do sklepu upośledzonego biedniaków. Poprzez pobieranie wyższych cen napychał sobie kieszenie i ułatwiał wroga propagandę przeciwko spółdzielczości na wsi. Ob. Przebinda traktował sklep spółdzielczy jako własny — gotówkę z utargów przeznaczał na swoje potrzeby, a gdy zachodziła potrzeba, wpłacał do kas — tak że działalność jego pod względem formalnym prowadzenia sklepu, nie nasuwała podejrzeń. Dopiero wniesione zażalenie spowodowało przeprowadzenie nieoczekiwane remanentu wypadkowego i tym sposobem zdolano zdemaskować jego działalność.

W odpieraniu i demaskowaniu panikarskich plotek wielką rolę mają do spełnienia pracownicy sklepowi, jako najbardziej wysunięty w teren aparat. Dlatego pracownikom tych otoczonych musimy szczególnie poświęcić ich kwalifikacje fachowe i poziom polityczny. Ale największą rolę w przeciwdziałaniu panikarskim narzędziom ma do spełnienia blisko czterech miliona członków zrzeszonych w spółdzielniach województwa krakowskiego, a zwłaszcza samorząd spółdzielczy, reprezentowany przez chłopów zasiadających w Komitetach Rewizyjnych i Komitetach Członkowskich.

Stanisław Okarmus

Libertowa

woj. krakowskie

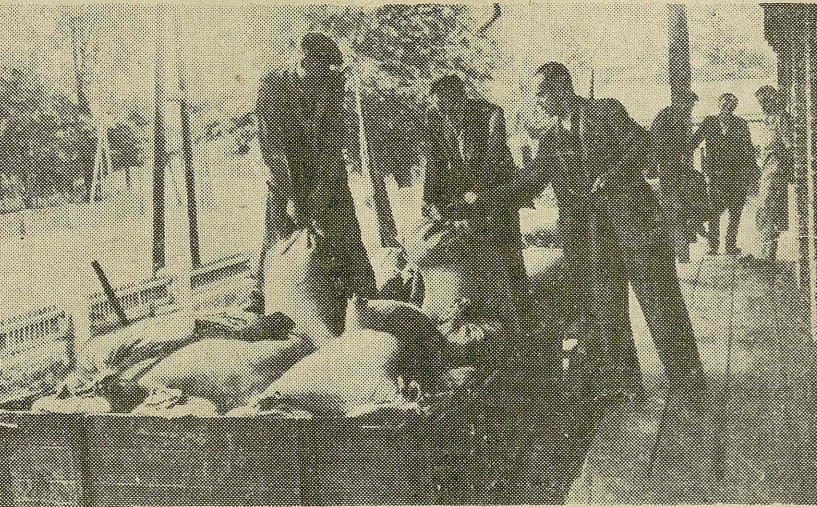


Foto — CAF

PIOTR ŚWIETLIK

Książka pomocą

NASZA pomocą powinna być książka, a także kursy wiedzy rolniczej. Członkowie samorządu Samopomocy Chłopskiej, pracownicy mogliby w jesieni i zimie dać cały szereg pięknych wykładów, aby w ten sposób podnieść naszą wiedzę i produkcję rolną. Chcę tu zwrócić uwagę na konkurs czytelników. To jest niby robota Samopomocy Chłopskiej, a która jak nie my, będący we wspólnocie Samopomocy, tam gdzie jest szereg ludzi wyrobionych politycznie, powinniśmy być pośrednikami między książką a czytelnikami. Dlatego powinna być w naszej spółdzielni gromadzkiej, gminnej, PZGS — książka do sprzedaży. Ale dobrze by było, żeby dyrektor, sklepowy, członek samorządu mógł temu kupującemu tę książkę przedstawić. Myślę, że gdybyśmy sami zaczęli czytać, to czytelników na usi byłoby dużo znaleźć.

Byłem kiedyś na zjeździe w Rzeszowie. Przemawiał starszy — nie, ja go obrażam, to był młody 75-letni chłop z naszego powiatu, który mówił, że dzięki książkom, z ziemi żytniej zrobił pszenno — buraczana. Był prymusem w tej dziedzinie, a to tylko dzięki książkom. Przemawiała także kobieta. Nie — narzekala, My,

gdyby nam ambicji nie zabrakło, to byśmy się skarżyli na konkurs, na różne przeciwności, ale tam zjechało się 200 ludzi, czytających książki. Oni wiedzą, dlaczego buduje się Nowa Huta, oni rozumieją, co się robi w Polsce. Trzeba pomóc nam, Samopomocy Chłopskiej, organizować zespoły czytelników. Powinno być na gromadzie pięć, dziesięć, piętnaście takich zespołów. Myślę, że książka, dobra książka, potrafi nam dużo pomóc.

Powiem jeszcze o gazecie ściennej. Z łaniewskiego powiatu mamy ciekawe doświadczenie. Jest taka gromadzka świetlica i w tej świetlicy ujawiono na gazecie ściennej bułanów i innych, którzy coś zawinił. Jakież było zdziwienie redaktora tej gazетки ściennej, kiedy przyszedł do niego rolnik, który zawinił i mówi: proszę mnie z tej ściany usunąć, ja się już odmieńnię, tylko mnie zdejmijcie.

W chłopie jest godność, tylko że często ulegamy podszeptom. A taka gazетка przypomina o obowiązkach, jeśli chodzi o świadczenia dla naszej Ojczyzny.

Piotr Świetlik

Rzeszów

JACEK BOCHENSKI

POZOSTAŁ SAM JEDEN

(Fragment opowiadania)

PODCZAS gdy najgroźniej piętrzyły się wokół spółdzielni dziwne wydarzenia, samochody zwiozły cegłę i pustaki na budowę domów jednorodzinnych. Wielu mówiło: „Nie w głowie mi budowa, rzekam się kredytów, czy mnie zmuszą, żebym się budował.” Wielu także mówiło: „O, tu na dloni włosy mi wyrosną, jeśli w tych domach będą mieszkać ludzie z Brzeżnicy. Innych jakichś nawiozą z miasta, takich, co lubią, żeby im się ręce nie odgniotły, i będą nad spółdzielnię rządzili.” Mówili to również Węgrzecki, którego cierpienie rosło z dnia na dzień, a strach pomieszany z zawiścią najeżał włosy. Do budowy stanęło już nie sześciu ale jedenastu członków, przekonanych tak łatwo przez Kubalę, zachęconych widokiem cegły, gotowych zaraz mówić na Wojtkowskiego „kulak” a na Węgrzeckiego „uparty bratan”. Jakże dreszcz przelikał Węgrzeckiego w te dni niestychane i niepojęte, równe chyba dniom reformy rolnej, kiedy pańska ziemia przypadała farnolom. Oto w Brzeżnicy, gdzie niedza chłopka dosięgała szczytu, a ksiądz objaśniał, że jest to wyraźny skutek ludzkiej nieprawości, w Brzeżnicy jaśnieśliwymi panów Biernackich wznosił się z chłopskiej woli poczęty zespół murańskich budynków i zapowiadał niebawem zmiany. Im wyżej sięgały mury budynków, tym głębiej żółbił serce Węgrzeckiego zjadliwy ból. Nie wiara i szczytowo przerażały w pewność i rozpacz. Nad szczyt wreszcie dzień najczarniejszy. Rozwiał ostatnie nadzieje i przyniósł pierś zadrzałość, cięższą od kamienia. Fornale ciągnęły losy i brały w posiadanie mieszkanie przyznane sprawiedliwie losem, a by nikt nie mógł mówić, że jeden wziął lepsze w środku, a drugi gorsze od strony lasu. Tak podzielono wszystkie budynki i nie zjawili się żaden rzadca, któryby zajął najpiękniejsze murańskie. Tak podzielono osiemnaście białych domów między osiemnastu członków spółdzielni. Niebawem opustoszały czworaki przy szosie. Spód przegniebionych dachów, z wnętrza wilgotnych piwnic szedł lud dworski do łąb słonecznych, pięknie błonnych i jakże szeroki. Nie jeden z lekkiem przekraczał nowe progi. Świeżo uszyte ubranie krepie ruchy ciała, a stara kapota zdaje się nierzaz wygodniejsza od nowej. Podobnie był spółdzielczy, spółdzielczy mieszkaniec, spółdzielca praca i prawo zdawały się zrazu dziwne i niewygodne. Człowiek stawiał na nowej gospodarce zdumiony, jakby mu nagle skrzydła urosły u ramion. Gdzieś poleci nieprzypięty do lotu. Lecz nie Węgrzeckiemu urosły skrzydła, on czuł się jak ten ptak parszywy, podziobany, wyrzucany ze stada. Bolesną zadrzałość przyluszczała powoli czosia samotność. Ciesza, cisza — oto czym najłatwiej zabić człowieka: milczącym wymijaniem na drodze, milczącym niewiedzeniem, milczącą niechęcią.

Był dzień jasny, sady przybrały się właśnie różowym kwiatem, powietrze miało zapach wina, a trzmielce dzwoniły w trawach i wtedy przyszli do Węgrzeckiego z przyjacią wysłannikami spółdzielczymi, Kurek i Kubala. „My po linii partyjnej!” — odkryli śmiało karty — „Przychodzimy cię pozyskać dla spółdzielni.” Ręce wyciągali w ten sposób, jakby chcieli nim porwać Węgrzeckiego. „Człowieku!” — wołał Kurek — „Przebieg mówię, że zrobisz jak wszyscy, takie były twoje słowa, przebieg ślepy widzi, że w naszej sprawie nie ma kłamu, ślepy widzi do brodziejstwo, tak czy nie? Człowieku, na co czekasz? Wróć do nas!” Twardą odprawę dał Węgrzecki przyjacią wysłannikom, ohydnym słowem obraził partię, Kubalę i Kurka. Od tego czasu gęstniał mrok wokół wyrzutka. Strach przerażał Węgrzeckiemu wnętrzości, gdy pewnego dnia powiedziano, że nie ma już ani jednego parcelanta poza spółdzielnią, że wszyscy w liczbie dwudziestu siedmiu zadeklarowali wkłady i przystąpili do pracy, że ostatni został on, kulak parobek, Węgrzecki Jan. Znowu przybyło białych domów na wzgórzach i jakby jakąś dziwnie zimną trucizną poczuł Węgrzecki we krwi, gdy spółdzielcy zaczęli któregoś ranka rozbiierać czworaki na cegłę do obór przyzagrodowych. Skutlone mu w izbie dawało się, że traci z ciała kawały mięsa, że spółdzielcy rozszarpują w strzępy jego ręce, głowę i nogi. Przemógł się wtedy i wybiegł zapytać Kubalę, czy to już mu spółdzielni dach z głowy myśli zerwać. Kubala wyjaśniła cele spółdzielców i zapewniła, że Węgrzeckiemu żadna krzywdy się nie stanie. Wtedy Węgrzecki napomknął o swoich potrzebach. Przecież i jemu przydałoby się trochę cegły na chlewik dla świń. Kubala chwilę pomyślał i oświadczył, że spółdzielcy całkowicie czworaków nie rozbiorą, a tyle co potrzeba na chlewik może sobie Węgrzecki wziąć.

Cios odciśnięty się ciosiem. Każde upokorzenie, każdy był zadany z zewnątrz umiał sobie Węgrzecki wynagrodzić biciem. Gdy późnym

wieczorem wracał pijany, twarz i plecy jego żony pokrywały się siłkami niebiesko-czerwonymi jak siłki. Z latami dawna miłość Węgrzeckiego do żony zmieniła się w jadowitą nienawiść. Tłuki i kopał płacząc kobietę, a przerażliwy babki skowyt „o rany, Jezusczku, o rany” podniecał go, napędzał siłą i rozkoszą. Najokrutniej sponiewierał Węgrzecki ślubną kobietę pewnej nocy, kiedy w ciszy rozdarła się nagle historycznym lamentem, że śmierć zagłada do okienka, że głód wydusi tu wszystkich, żeby szli do spółdzielni, inaczej zginą. „Milec!” wrzasnął Węgrzecki, a był to głos najstraszliwszy, bo trzęsący. Chłop chwycił siekierę. Szczęściem żelazne ostrze osunęło się z trzonka i krew nie wytrysnęła z cienia Węgrzeckiej, ale drewno zbiegło po policzku, zszarpało koszulę i osłabiło babki grzbiet czarną pręgą „Tatku, tatku!” — krzychała przestraszona córka, jedynaczka, która przeżyła pięćdziesiąt rodzinnych zmarłych jeszcze w niemowlęctwie na tajemnicze choroby. Węgrzecki oprzytomniał i stał już wyprostowany, czerwony, płucząc głośno na podłogę. „Tatku!” szepnęła córka — „Nie zabijaj!” „Spój!” powiedział Węgrzecki. Przebierał palcami swoje czarne, skotłunione włosy. Kochał córkę.

Przewalił się nad głową Węgrzeckiego pierwszy rok spółdzielczy. Przeszły polem traktory, uderkowane czerwonymi proporcjami, przeciagnęły pięknie malowane brzozy i siewniki, kłotały snopowiązki, grzmiąły dumnie przemówienia, hasła „podnieśliśmy wydatność z hektara” wyrosło razem z pszenicą. Nie spadły na spółdzielnię zapowiadane przez ludzi kary boskie, nie przyszła Ameryka, nie wystrzelała członków, nie przyjechał Anders z panem Biernackim, rząd nie zabierał pługów, nawet ksiądz nie wyklął jakoś członków, którzy powiesili na ścianach portrety Stalina. Urodziło się nowe słowo, słyszane i dawniej, ale należące wówczas do rzędu niezrozumiałych wymysłów, wynalezionych

pewnie gwoli oszukaństwa i mące. W głowach. Teraz to słowo nabrało jasnego znaczenia, wyraziło się w kwintalach żyta i setkach złotych, pokazało związek między pracą a zarobkiem, stało się jakby znakiem sprawiedliwości. Dniówka obrachunkowa. Dwadzieścia jeden złotych i trzydzieści groszy. Kto więcej pracował, ten więcej dostaje po dwadzieścia jeden złotych i trzydzieści groszy. Rząd nie zabiera i nie daje, kredyty trzeba zwrócić, za traktory trzeba płacić, plony należy podzielić między członków podług włożonej pracy. Nie zmieniły się prawa gospodarstwa. Rolnik pozostał rolnikiem. Rolnik sieje i zbiera, a co zbiera, jest jego własnością. Co pozyskał u państwa, musi oddać. Spółdzielca jest właścicielem spółdzielczej ziemi, spółdzielca nie pracuje na czyimś, pracuje na swoim.

Do Warszawy... Zakrawionymi oczyma widział Węgrzecki codziennie pochody spółdzielców na przystanek PKS-u. Do Warszawy... Zamienił dniówkę obrachunkową na buty, na jesienki, czapki, ciuchki dla dzieci. Kupował, mied, zaczął żyć. Zapiętkami ślepiami oglądał Węgrzecki codziennie powroty spółdzielców z Warszawy, strojenie się na pokaz, buńczuczne śmiechy i śpiewy, uszmiokowane usta kobiet, świecące oficerki na nogach Kurka. Trałowały Węgrzeckiemu serce czarne buty Kurkowe niemniej chętnie niż Wojtkowskiemu. I oto teraz na przednówku, gdy normalnym porządkiem rzeczy nieda po winna być ludzi za gardło, słychać tylko zachłapy, co też będzie w nowym roku, jak to każdy poszedł po rozum do głowy, jak będzie pilnował roboty i jaka z tego powstanie dniówka obrachunkowa, trzydzieści dwa złote. Już teraz wszyscy wiedzą, czym spółdzielnia stoi, już są uświadomieni, nikt im nie pomiesza w głowach gadaniem byle czego. Czy ich zżoło nie było ładniejsze niż w starej wsi. Czy nie zebrał więcej z hektara. Ile się na

samych miedzach zyskało! Mają najważniejsze, a najważniejsze to zrozumienie, dobre zrozumienie istoty rzeczy. Teraz już to wszystkim tak dobrze mają w głowie, jak — nie przymierzając — sam sekretarz powiatowy, który jest najlepszym „kaszodzieją do spółdzielni produkcyjnych”. Już ich dzieci nie muszą gęsi pasać. Już się ziemniaków nie będzie po pięć razy w jednej wodzie gotować, jak przed wojną, żeby soli oszczędzić. Już do Wojtkowskiego nikt cepami kreć nie pójdzie, już kulak kołucha z człowiekiem na zastaw nie ścignie ani pierzyn chłopskich na licytacji nie kupi. Dość krwi ludzkiej w tę paszczę spłynęło. Po brzegi wzbierała krzywda, gorzej pańszczyzny, gorzej piekła.

Co prawda, to prawda — przyznawał w duchu Węgrzecki, lecz w tym samym czasie pęczał jego ból osobisty, wyły w piersiach zawiedzione nadzieje a gardło ścisnęła lek. Nie! Nie pójdzie! Nie pójdzie do spółdzielni! Za nic. Niech go porządnie utłuką, zadgają, on nie pójdzie bo jest wolny, wolny, będzie pił dniem i nocą, będzie handlował świńkami, oprze się wszystkim, przetrwa, będzie żył!

Marowy chłód przedmuchuje ściany. Widać, jak w polu chwieją się baidy. W pewnych miejscach śniegu nie ma, wywiał go pod brzozy: tam leży przyladzony, jakby troskliwie uchuchany wiatrem. Spozą wzgórz nalał się wiatr, porywa syplące obłoki, a byle cisnąć w okno Węgrzeckiego. Gdzieś w mglistej bieli, w zademie śnieżnej czai się nasłany, słychać, jak z wiatrem opukuje dach i grusze wśród ścian. Węgrzecki wrzastając ucho do muru. Jest! Wyraźny szelest przemkła się wewnątrz czworaków. To nie wiatr, to powolny krok ludzki, szuranie butów i oddech, głośny oddech. Jakż w tym może być podstęp — odgaduje Węgrzecki. I podczas gdy najokrutniej przyciska ucho do ściany, słyszy zlenacka ostre pu-

kanie. Drzwi są otwarte na rozcięt i pada z nich głos.

— Ale pana długo szukał, panie Węgrzecki! Można się ogrzać?

Wielka bezradność opanowuje Węgrzeckiego. Jak głupio trzęsą się ręce. Z góry obmyślone sposoby rozmowy uleciały w powietrze, a sam Węgrzecki wbrew swej woli i rozsądkowi podsuwa nieznajomemu stołek i uprzejmie prosi, aby spoczął.

— Zabłądził łatwo w tych rulanach, panie Węgrzecki. — Głos przybyszki brzmi jakoś sztycherco. Chytrze podchodzi. Zaczyna rozmowę o tym i owym. Główny cios padnie za chwilę.

— Do spółdzielni pan nie chciał przystąpić. Podobno pan jest jeden jedyny, co został poza spółdzielnią. Tak się pan dobrowolnie zakopał w gruzie.

— Ja nie mogę do spółdzielni — Węgrzecki odzykuje mową. — Tu są zaświadczenia. Wszystko sam pisze. — Węgrzecki drżącymi dłońmi podaje gościowi swoje papiery. — Ja chory jestem, panie przedstawicielu, a spółdzielni nie rozkładam. Nie trzeba wierzyć byle komu. Inni do spółdzielni wchodzili go! To ja mam konia wniesić. Toż przecie pan widzi, że byłaby moja krzywda.

Nasłany uśmiecha się.

— Niech się pan Węgrzecki nie boi. Ja nie przyszłem pana Węgrzeckiego namawiać. A co do konia, to przecież konie odpłatne.

— Nie wiem, czy odpłatne — ciągnie Węgrzecki — ale ma się rozumieć, że jako chory do spółdzielni nie pójde. Czy chory może pracować. A w spółdzielni to już trzeba pracować, bo tam wszystko zależy na pracy. Pan łaskawie przeczyta zaświadczenie, w którym wyraźnie pisze: znaczy, że Węgrzecki jest chory.

— Panie Węgrzecki, przed własnym sumieniem niech się pan tłumaczy. Ja panu tylko jedno powiem: na mój rozum zrobił pan kiepski interes. Już tak powiem, że

pan jest frajer, panie Węgrzecki. Przyjeżdżam do Brzeżnicy i oczom nie wierzę. Komu się kiedy śnił taki dobrobyt. Komu. I od czego to pan Węgrzecki uciekł. Od pieniędzy do nędzy. Tak czy nie?

Węgrzecki czerwienieje. Jego błądność rozwiewa się teraz tak samo, jak przed tym rozwiała się chytrność i siła. Oczy zachodzą łzami. Głos przychodzi, staje się chrypliwy i sapający. Z gardła nie wydobywa się już mowa, lecz jakiś bolesny jęk.

— A a a... a nie wszystko na pieniądzech zależy. Wiele zależy na ludziach a mowski.

— Który Makowski? Ten, co go wyrzucają?

— Znaczy, idzie do więzienia.

— Do więzienia swoją drogą, a że spółdzielni wyrzucają swoją drogą. Tam podobno różne rzeczy wyszły.

— Co, proszę?

— Nie wiem dokładnie, tylko tak od ludzi słyszałem, że ujawnili jego oblicze.

Znowu drża ręce.

— Czy o mnie też zeznawali?

— Ja powiem otwarcie panu Węgrzeckiemu: ja się sam dziwięm, że pan Węgrzecki tu jeden został. Wiele ich pytałem, czy by pana Węgrzeckiego przyjęli do spółdzielni. Powiadają: my byśmy go przyjęli, bo jest nam bliski klasowo, ale on sam nie chce i jest zresztą — przepraszam za słowo — kombinator. Ja w to nie wchodzę, mówię tak, jak jest, ale widzę, że oni mają o coś do pana Węgrzeckiego. Ja im sam mówię: jakże może być z Węgrzeckiego kombinatorem, jeżeli on jest wam bliski klasowo? A ci śmieją się: on już zna sposoby.

Węgrzecki:

— Znaczy, mam rozumieć, że mnie do spółdzielni nie chcą przyjąć?

— Kto wie, może by ich pan jeszcze mógł przekonać.

Węgrzecki myśli:

„Czy sprawy tak daleko zaszły? Czy i o nim pewnego dnia powiedzą, że ujawnili jego oblicze? Cóż to znaczy, że on mógłby przekonać spółdzielców. Po co więc przyszedł nasłany?”

— Mogę wiedzieć, po jakiej linii pan bywa w Brzeżnicy.

— Ja? Z powiatu, jako instruktor sportowy. Półkarz.

„Co takiego? Półkarz?” — Węgrzeckiemu ciemnieje w oczach. To sztycherco przeszło znane mu do tyłu czosia. Tego małego oduczenia nie spodziewał się od losu. Czyżby taka miała być kolej rzeczy, że półkarz będzie urażał nad trumem Węgrzeckiego? Półkarz?

— Boisko — ciągnie tamten — i pełne wyposażenie w sprzęt techniczny otrzyma Brzeżnica w tym roku. Panu Węgrzeckiemu chyba też wiadomo o LZS-ach. Ja tu wychowanie fizyczne rozkręcam w Brzeżnicy. Materiał ludzki jest dobry, będzie z niego piękny narybek. A swoją drogą córka pana Węgrzeckiego też zdarna dziewczyna, nie mogłaby należeć?

Na to pytanie Węgrzecki nie daje już odpowiedzi. Wszystko, co było w nim żywe, zdrtwiało, wszystko co było ruchem, jest kamieniem. „Ja panie półkarzu, córki na publiczne zgorszenie nie dam, żeby dziewczyna latała w majtkach po polu!” — taka odpowiedź roził się jeszcze w Węgrzeckim, ale nie jest już zdolny głośno ją wypowiedzieć i myśli nie wyrażona słowem trzępoce się tylko w mózgu jak okaleczony krak.

— Czas na mnie — mówi półkarz. — Dziękuję, że mi pan dał się ogrzać.

— Panie instruktorze — mamrocz Węgrzecki. — Ja panu przedstawiam z mojego punktu widzenia.

— Komu w drogę, temu czas — powtarza półkarz. — Autobus przychodzi za minutę.

Półkarz podaje Węgrzeckiemu rękę i otwiera drzwi. Węgrzecki wychodzi z nim. Idą razem do przystanku.

— Ja, panie instruktorze, przysięgam, że z Makowskim w znowie nie byłem. Łatso.

Spozą wzgórz wylania się nagle pękaty, niebiesko lakierowany samochód. Zobaczyćwszy go, półkarz rusza biegiem. Naprzeciw samochodu jedzie furą Wojtkowski. Przy mijaniu koń Wojtkowskiego staje deba.

— Łatso będę się pisał do spółdzielni — krzyczy Węgrzecki za półkarzem.

Na ten głos Wojtkowski odwraca głowę i zdaleka przygląda się Węgrzeckiemu, później półkarzowi i znowu Węgrzeckiemu.

„Słysz! Będzie się śmiał, bo słyszał!” — uświadamia sobie Węgrzecki i ta myśl przykuwa go do ziemi. Jakby wielka jakaś przepaść ogarnęła Węgrzeckiego ze wszystkich stron. Stoi otoczony otchłanią i nie ma stąd mostu nawet do Wojtkowskiego.

Ale Wojtkowski zaczął batem konia i oddala się w kierunku starej wsi. Tymczasem półkarz wskazuje do autobusu.

Motor wałęsa głośnie i niebieski wóz odjeżdża.

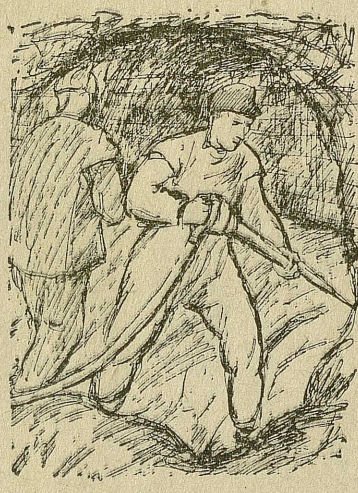
Jerzy K. Maciejewski

Jacek Bocheński

JERZY K. MACIEJEWSKI

W WARSZAWSKIM METRO

TRAMWAJE w przedwojennej, liczące ponad 1,3 miliona mieszkańców Warszawy, przewoziły rocznie ponad 243 miliona pasażerów. W Warszawie roku 1948, gdy liczba mieszkańców spadła do 2/3, liczba pasażerów wzrosła do 400 milionów. Stanowi to, rzecz prosta, olbrzymie obciążenie miejskiej sieci komunikacyjnej i było u podstaw decyzji Rządu z dn. 14.XII.1950 o budowie w Warszawie i Warszawskim Zespole Miejskim SKM (Szybkoobrotowej Kolei Miejskiej) czyli Metro.



Rys. — J. Walker

Wiemy już dzisiaj, jakie to Metro będzie. Szybkość jego wyniesie 36 km na godz., co pozwoli na przebieg z Bielan na Mokotów, lub z Mokotowa na Pragę w ciągu 12 minut. Pociągi będą kursować w odstępach co 105 sekund. Jeden pociąg (4-6 wagonów) będzie miał około 1200 miejsc siedzących. Zejście na peron będzie przy pomocy trzech rzędów schodów ruchomych. Stacje będą urządzone estetycznie na wzór Metro w Moskwie.

— Ile prawdy jest w twierdzeniu — zaryzykowałem pytanie, zwracając się do inżyniera-fachowca — że budowa naszego Metra prowadzona jest w niezwykle trudnych warunkach? Ze woda, szczególnie zaś „kurzawka”, jest śmiertelnym wrogiem budowniczych i wpływa hamująco na tempo robót?

Inżynier uśmiechnął się. Powoli schował do teczek grubą tom fundamentalnej pracy W. Ł. Makowskiego „Tonnieli” i powiedział:

— Przekonacie się redaktorze naocznie o trudnościach.

Zesłaliśmy po zardzewiałych, mokrych od skroplonej wody schodach w dół szybu, gdzie wystąpiła kurzawka, tzn. woda zmieszana z piaskiem i pyłem, trudna do oprowadzania. Zastosowano tutaj metodę prof. inż. Ceberłowicza, zwaną elektropetryfikacją gruntu. Polega ona na tym, że na powierzchni ziemi wokół szybu we wbite rury wleciła się pod ciśnieniem i z za-

stosowaniem prądu elektrycznego na przemian tzw. szkło wodne i chlorek wapnia.

Podobnie jest i wewnątrz szybu, gdzie ta sama procedura przeprowadzana jest przy pomocy wibrych — ukośnie poprzez betonowe ściany szybu żelaznych rur. Poziom wody już się nie podnosi. Proces „zeskalania” piaszczystego, przesyconego wodnymi żyłami gruntu powiódł się.

— Profesor Ceberłowicz dostaje liczne listy z zagranicy, dopytujące o składniki i udział w tym prądzie elektrycznym. Zagranica wie, że również o udanej elektropetryfikacji skarpy wiałej pod kościołem Bernardynów przy Trasie W-Z, jak i o dalszych próbach. To przecież wielkie osiągnięcie naukowe.

Przy wwiercaniu rur w ziemię pracuje brygada strycharzy z cegielni w Kopytowie pod Błoniem. Brygadziści Henryk Szczepaniak z uznaniem wyraża się o swych ludzich.

— Pracują wszyscy równo — powiada.

Ten duch pracy zespołowej spotykam zresztą później i w innych szybach. Praca na niewielkiej przestrzeni i w ścisłym uzależnieniu wysiłku towarzyszy, pogłębia zespołowość: obsługa windy wyciągowej czeka na napalenie urobkiem wielkiego wiadra w dół szybu, ładowacze z kolei zabierają urobek spod miotłów pneumatycznych swoich kolegów.

Idziemy dalej. Inżynier prowadzi mnie do drugiego szybu, gdzie robota na skutek obfitej wody prowadzona jest w trudnych warunkach, zupełnie tak samo, jak przy budowie mostów przez Wisłę. Praca odbywa się w komorze przy ciśnieniu 2,7 atmosfer, dobierani tutaj są ludzie absolutnie zdrowi, przechodzą przez częste badania lekarskie. Zmiana trwa trzy godziny, a ludzie pracują w kesonie i co tydzień przechodzą okresowe badania, kończące się w specjalnej „siłowni lekarskiej”, czyli owalnej metalowej, hermetycznie zamkniętej kabine o podobnych warunkach, jakie panują w kesonie.

— Mam tu zatem drugi typ robot — podsumował te informacje inżynier. — Teraz pojeździemy do szybu, w którym prace umożliwiło zamrożenie wodonośnego gruntu przy pomocy specjalnej aparatury.

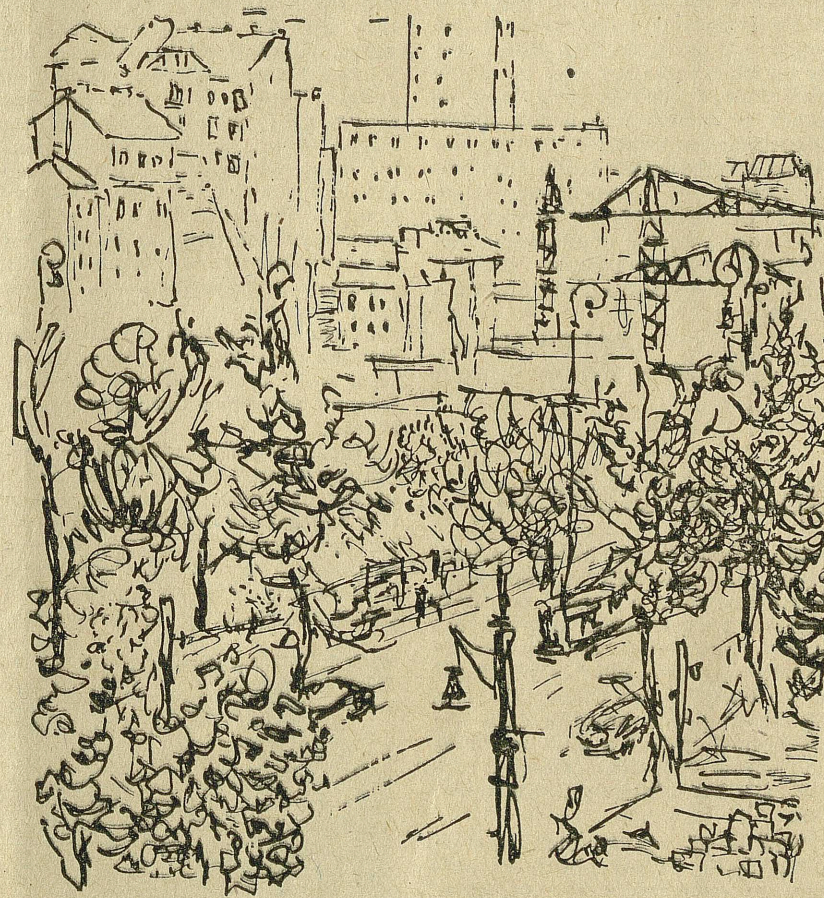
Dano mi robocze ubranie, mały hełm na głowę, gumowe buty i tak uzbrojony — czapka niezgrabnie i czując się w nieswoich płótkach — opuściłem się głęboko na dno szybu, gdzie w świetle silnych lamp elektrycznych pracowała brygada Albina Abrahamczyka ze Śląska.

Obmurowane kilimierem ściany szybu były białe od zamrozu, tu, na ociesu, jest minus 17 stopni, ale w samym środku wykupu temperatura wynosi ok. minus 4 stopnie. Wysoko w górze widnieją białe krąg nieba przestaniący oparą. Jedzie tam napelnione urob-

kiem wiadro o pojemności 0,8 m³, podczas gdy drugie opuszcza się w dół. Jagotliwie trzęsąca się pneumatyczna młota, odgryzając zwarte bryły, a guchym stukaniem wrzucane do wiadra. W rzędach chwilał, gdy młoty milkną, zapada martwa, piwnicza cisza, jak gdyby wysysając tych ludzi, którzy teraz zamieniają się mną kilka ogólnikowych słów, trudno bowiem w tych warunkach wyciągać ich na jakieś wypowiedzi.

Poprosiłem młodszego rębacza Pawła Gawłocha o duży młot pneumatyczny i wparłem go w il przed sobą. Lekkie naciśnięcie i przekazywana przez sprężarkę siła zaczęła z szybkością tysiąca drgań na minutę wbić ostre młota w szaro, zwarte bryły. Podważyć — odrzucić — dźwignąć młot — ostry przesunąć w nowe miejsce... Zle teraz, za daleko od brzozy. Il nie odgryzł. Ostrye wbiło głęboko, trudno jest wyciągnąć. Pomaga w tym jeden z górników, inni na chwilę przerwali pracę, patrzą.

Drugi młot, mniejszy, trzyma się przy pracy w rękach i służy do robót raczej pomocniczych, np. wyrównywania nierówności ścian. Po dłuższej chwili odłożyłem młot na-



rys. St. Gierowski

witem z trudem, zaspany, jak gdybym wbiegł na płatek piekła. Zmiana trwa 6 godzin — zrobił pozostawiając uwagę inżynier. — Nie mniej jednak prawie cała zaboga szybu garnie się właśnie do pracy pod ziemią.

ślaw Oleś z Rybnika — przebieć się przez siedmiometrową warstwę kurzawki swoimi, w długoletniej pracy górniczej wypróbowanymi sposobami.

WŁADYSŁAW PAWLAK

PETYCJA KLASY DRUGIEJ

(Fragmenty opowiadania)

PANSTWOWE Liceum... Zawodowe w Łodzi mieści się w nieszczęśliwym lokalu. W głębi długiego podwórka, w odrapearnej, ciasnej oficynie, o wąskiej klatce schodowej, ciemnych korytarzach. Na niższych kondygnacjach posiada pracownię, a na wyższych klasy, świetlice, pokój młodzieżowy.

W tej chwili jest przerwa i klatkę schodową oraz ciasne, mroczne korytarze wypełnia młodzież: chłopcy i dziewczęta przebiegający z góry na dół, to krążący po schodach wzdłuż lub też stojący grupami na korytarzach albo spacerujący po dworze, troje ująwszy się pod ręce.

Do klasy drugiej weszli dyrektor, matematyk i jeszcze jakiś mężczyzna na którego uczniowie spoglądali ciekawie. Uczniowie wstali. Dyrektor dał rękę znak i młodzież siadała skrzypiąc i szurając krzesłami.

Pan profesor Wójcik objął u nas naukę o Polsce i świecie współczesnym oraz od dzisiaj jest naszym wychowawcą klasowym — mówił dyrektor do młodzieży, a zwracając się do Wójcika, niepozornego, niemłodego już człowieka rzekł — Panie profesorze, to jest najtrudniejsza klasa naszego liceum.

Mówię to panu dlatego, by pan uprzedził. Klasa ta od samego początku jest taka jakaś aspołeczna, leniwa, niezdyscyplinowana, niechętna do nauki. Na przykład za trzech okres liczb ocen niedostatecznych wzrosła i to znacznie — z dwudziestu ośmiu na czterdzieści osiem.

Wójcik słuchając dyrektora zwrócił wzrok na klasę i spotkał się z około pięćdziesięcioma parami oczu, w tej chwili jakby jednakowych, bezziemniennych oczu gromady spoglądających jak zawsze i wszędzie w pierwszej chwili z zaciekawieniem.

Klasa ta jakby się zmówiła, jest taka uporna — po dyrektorze mówił do Wójcika matematyk — nie ucz się a to koniec roku zbliża się i nie wiem jak to będzie z promocjami. Co najmniej dziesięć uczniów pozostanie na drugi rok i ja nie będę Lipińskim o ile stanie się inaczej...

Panie profesorze — mówiła — wczoraj odbyło się zebranie naszej klasy...

Szkoda, że nie powiadomiłś mnie, chętnie wziąłbym w nim udział i na przyszłość proszę zawsze powiadomie mnie na przyszłość.

Panie profesorze, tak się jakoś złożyło.

No, dobrze, ale na przyszłość bez mojej wiedzy nie zwoluję.

Panie profesorze na wczorajszym zebraniu — Irka mówiła niespieszono — podjęliśmy kilka uchwał, które chcemy złożyć panu profesorowi i proszę o przedstawienie dyrektorowi i o uwzględnienie — podała wychowawcy arkusz zapisanego papieru zaczerpniętego i przejętego w tej chwili tak jak gdyby chciała uciec.

Dobrze, przeczytam to później — mówił Wójcik — a jak narada produkcyjna, myśleliście o niej...

Jeszcze nie — odrzekł Krzysiek — chcemy ją zwołać w przyszłym tygodniu.

Siadajcie — rzekł Wójcik — zdecydujemy zaraz, ustalimy termin.

Irka przysiadła na brzęku krzesła, a na drugim przycupnęła Krzysiek.

Nie odkładajmy narady — mówił Wójcik — jest ona konieczna, jeżeli poziom klasy ma ulec poprawie. Dziś pomówię z niektórymi uczniami, poproszę do mnie tutaj też Jadzię i myślę, że na naradzie powinniście wystąpić przeciwko niej ostro, nie żenować się.

Panie profesorze, ona nie poprawi się, nie zmieni...

Jeżeli tak uważacie, to powinniście ją zmusić do wystąpienia ze szkoły, aby nie zajmowała na próżno miejsca w klasie, no, ale najpierw ustalmy termin narady. Kiedy macie najmniej lekcji?

Może na zajęciach praktycznych?

Nie, lekcji nie możemy zarywać.

Panie profesorze, zajęć praktycznych mamy tak dużo...

Zajęcia macie w środy i czwartki?

Tak.

Dobrze, więc rozpoczniemy w środę na ostatniej lekcji.

Uczniowie wyszli z pokoju, a że było już po dzwonku i inni nauczyciele udali się do klas, a Wójcik nie miał już wykładów pozostał sam. Teraz rozwinął papier włożony mu przez przedstawicieli klasy i czytał. W miarę jednak przebiegania oczyma po literkach napisanych na papierze, wybieki wystąpiły na jego twarzy i czoło zaperliło się do tego stopnia, że musiał ocierać pot chusteczką.

Czego oni chcą — mówił do siebie — poszanowania, godności ponownego przepytania, ponieważ oceny za ostatni okres uważają za krzywdzące i gotowi są udowodnić, że nauczyciele są uprzedzeni do pewnych uczniów... Ponownego przepytania domagają się w obec-

ności wychowawcy i czynnika społecznego, zarządu szkolnego ZMP lub komitetu rodzicielskiego, zmiany pana Lipińskiego, który nienawidzi młodzież, na innego nauczyciela... Klasa nie podniesie swego poziomu, o ile warunki jej nie zostaną uwzględnione, ponadto w wypadku odmowy spełnienia tej próby wszystkie organizacje młodzieżowe w klasie zostaną rozwiązane i odwołają się do uczniów całej szkoły o zsolidaryzowanie... Wójcik odłożył zapisany arkusz — Nieszczęśliwa sytuacja — rzekł.

W tej chwili drzwi do pokoju uchyliły się i wszedł dyrektor.

Nie ma tutaj pana Rzewuskiego? — pytał — Dzień dobry — zwrócił się do Wójcika podając rękę na powitanie. — Myśm się jeszcze dzisiaj nie widzieli.

Dzień dobry — Wójcik uściśnął dłoń dyrektora.

Co to wam, chorzy jesteście, macie taką rękę gorącą...

Nie, panie dyrektorze, tylko ci moi wychowankowie, naprawdę mam z nimi nie lada kłopot.

No?

Buntują się...

Ja im się pobuntuję — mówił dyrektor siadając obok Wójcika — co to za cyrograf pan ma?

O, podpisany przez Krzyska i Irkę — wziął do ręki i czytał.

Nie, to jest oburzające — powstał — uczniowie występują z jakimiś

żądaniemi, grozą, ja tym nicpo-niom, leniom pokażę, powyrzucam wszystkich na łeb ze szkoły — cho-dził zdenerwowany. — Kolego!

zwrócił się do Wójcika — ja jeszcze dzisiaj zwołam ekstra posiedzenie rady pedagogicznej, na którym zgłoszę wniosek o rozwiązanie klasy drugiej, a jeżeli nie, przeprowadzenie dochodzenia i wydalenia ze szkoły autorów tej rezolucji. Ja im pokażę rzadzić się, my nie szanujemy ich godności, wielmożni panowie... Jesteś uczniem jeden z drugim i masz słuchać...

Panie dyrektorze — rzekł Wójcik — ja jestem wychowawcą tej klasy, może mnie pozostawi pan przemyslenie całej tej sprawy i jutro przedstawię panu odpowiednie wnioski.

Nie, musimy działać ostro i natychmiast.

Panie dyrektorze, ja jednak proszę... Gdyby moje wnioski nie odpowiadały panu, wtedy proszę postąpić według własnego uznania.

Dyrektor spojrzął na Wójcika, wyczuł w jego głosie jak gdyby groźbę Zmitygowu się w tej chwili, pod koniec roku nie chciał tracić jednej siły nauczycielskiej, po-

klamy.

Panie profesorze — mówiła — wczoraj odbyło się zebranie naszej klasy...

Szkoda, że nie powiadomiłś mnie, chętnie wziąłbym w nim udział i na przyszłość proszę zawsze powiadomie mnie na przyszłość.

Panie profesorze, tak się jakoś złożyło.

No, dobrze, ale na przyszłość bez mojej wiedzy nie zwoluję.

Panie profesorze na wczorajszym zebraniu — Irka mówiła niespieszono — podjęliśmy kilka uchwał, które chcemy złożyć panu profesorowi i proszę o przedstawienie dyrektorowi i o uwzględnienie — podała wychowawcy arkusz zapisanego papieru zaczerpniętego i przejętego w tej chwili tak jak gdyby chciała uciec.

Dobrze, przeczytam to później — mówił Wójcik — a jak narada produkcyjna, myśleliście o niej...

Jeszcze nie — odrzekł Krzysiek — chcemy ją zwołać w przyszłym tygodniu.

Siadajcie — rzekł Wójcik — zdecydujemy zaraz, ustalimy termin.

Irka przysiadła na brzęku krzesła, a na drugim przycupnęła Krzysiek.

Nie odkładajmy narady — mówił Wójcik — jest ona konieczna, jeżeli poziom klasy ma ulec poprawie. Dziś pomówię z niektórymi uczniami, poproszę do mnie tutaj też Jadzię i myślę, że na naradzie powinniście wystąpić przeciwko niej ostro, nie żenować się.

Panie profesorze, ona nie poprawi się, nie zmieni...

Jeżeli tak uważacie, to powinniście ją zmusić do wystąpienia ze szkoły, aby nie zajmowała na próżno miejsca w klasie, no, ale najpierw ustalmy termin narady. Kiedy macie najmniej lekcji?

Może na zajęciach praktycznych?

Nie, lekcji nie możemy zarywać.

Panie profesorze, zajęć praktycznych mamy tak dużo...

Zajęcia macie w środy i czwartki?

Tak.

Dobrze, więc rozpoczniemy w środę na ostatniej lekcji.

Uczniowie wyszli z pokoju, a że było już po dzwonku i inni nauczyciele udali się do klas, a Wójcik nie miał już wykładów pozostał sam. Teraz rozwinął papier włożony mu przez przedstawicieli klasy i czytał. W miarę jednak przebiegania oczyma po literkach napisanych na papierze, wybieki wystąpiły na jego twarzy i czoło zaperliło się do tego stopnia, że musiał ocierać pot chusteczką.

Czego oni chcą — mówił do siebie — poszanowania, godności ponownego przepytania, ponieważ oceny za ostatni okres uważają za krzywdzące i gotowi są udowodnić, że nauczyciele są uprzedzeni do pewnych uczniów... Ponownego przepytania domagają się w obec-

zatem Wójcik był nie tylko nauczycielem, ale i wyższym urzędnikiem państwowym.

Dobrze — rzekł — ale oświadczam panu, że nie będę po-blażliwy.

Zgadzam się z panem dyrektorem i proszę o jeszcze jedno — do jutra niech ta sprawa pozostanie między nami, nie wtajemniczajmy w nią nikogo.

Nie solidaryzujecie, dlaczego?

Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

Jak wy się nazywacie?

Rzekł.

Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

Tak.

Nie solidaryzujecie, dlaczego?

Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

Jak wy się nazywacie?

Rzekł.

Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

Tak.

Nie solidaryzujecie, dlaczego?

Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

Jak wy się nazywacie?

Rzekł.

Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

Tak.

Nie solidaryzujecie, dlaczego?

Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

Jak wy się nazywacie?

Rzekł.

Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

Tak.

Nie solidaryzujecie, dlaczego?

Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

Jak wy się nazywacie?

Rzekł.

Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

Tak.

Nie solidaryzujecie, dlaczego?

Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

Jak wy się nazywacie?

Rzekł.

Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

Tak.

Nie solidaryzujecie, dlaczego?

Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

Jak wy się nazywacie?

Rzekł.

Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

Tak.

Nie solidaryzujecie, dlaczego?

Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

Jak wy się nazywacie?

Rzekł.

Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

Tak.

Nie solidaryzujecie, dlaczego?

Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

Jak wy się nazywacie?

Rzekł.

Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

Tak.

Nie solidaryzujecie, dlaczego?

Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

Jak wy się nazywacie?

Rzekł.

Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

Tak.

Nie solidaryzujecie, dlaczego?

Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

Jak wy się nazywacie?

Rzekł.

Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

Tak.

Nie solidaryzujecie, dlaczego?

Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

— Nie solidaryzujecie, dlaczego?

— Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

— Jak wy się nazywacie?

— Rzekł.

— Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

— Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

— Tak.

— Nie solidaryzujecie, dlaczego?

— Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

— Jak wy się nazywacie?

— Rzekł.

— Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

— Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

— Tak.

— Nie solidaryzujecie, dlaczego?

— Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

— Jak wy się nazywacie?

— Rzekł.

— Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

— Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

— Tak.

— Nie solidaryzujecie, dlaczego?

— Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

— Jak wy się nazywacie?

— Rzekł.

— Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

— Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

— Tak.

— Nie solidaryzujecie, dlaczego?

— Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

— Jak wy się nazywacie?

— Rzekł.

— Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

— Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

— Tak.

— Nie solidaryzujecie, dlaczego?

— Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

— Jak wy się nazywacie?

— Rzekł.

— Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

— Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

— Tak.

— Nie solidaryzujecie, dlaczego?

— Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

— Jak wy się nazywacie?

— Rzekł.

— Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

— Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

— Tak.

— Nie solidaryzujecie, dlaczego?

— Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

— Jak wy się nazywacie?

— Rzekł.

— Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

— Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

— Tak.

— Nie solidaryzujecie, dlaczego?

— Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

— Jak wy się nazywacie?

— Rzekł.

— Ja, Bogusz — rzekł siedzący na wprost Wójcika — a ja, Krawczyk — rzekł drugi.

— Więc waszym zdaniem klasa postąpiła niewłaściwie?

— Tak.

— Nie solidaryzujecie, dlaczego?

— Uważamy petycję i całe wystąpienie za niesłuszne.

— Jak wy się nazy

JACEK MICHNAK

Wójt i rada gminy Ratulów

ANI mój ojciec, ba, nawet mój dziadek tego nie był, ino słyszał od swojej babki, jak był jesse małym chłopcem, kiedy mu pierś gacie uszyła zrzebne, siedział sobie na przpiecku, a babka mu opowiadała tak:

Było to dawno, strasznie dawno. Ratulów nie był wtedy Ratulowem, nazywali go Mokrym Zlebem, bo jak się nim jechało od Młotowa w górę, to trzeba było przez wodę przejeżdżać styry dwadzieścia razy, nie było ani jednego mostu i tak się ludziska ciapkali po wodach jak gęsi nieprzymierzając. Chłup w nim dużo nie było i nie takich paradnych, jak dziś, rnyen nie było pod nimi ani skielek po gankach ani



okien dużyk ino takie małuśkie, co-bys bezen ledwie się przewiół.

Mokry Zleb nie miał wójta, bo należał do Czarnego Dunajca. Po byle co trzeba było dyrdalić w Dunajec. Uprząkryło się ludziskom z Mokrego Zlebu tak daleko do wójta chodzić. Posel jeden mądrzejszy chłop do starostwa i pedział: „Panie starosto, my Mokroziebani mamy już dość tego waszego Dunajca. Dyc przecieśmy u psa nóg nie pożyczili, co byśmy tu musieli chodzić po byle co. Jest nos wielo, że możemy se mieć swoją gminę i swojego wójta, ba ehej!“. Wziął, wicie, molestować i nareszcie starosta nie bronil z u-bić nową gminę w Mokrym Zlebie. Na wyznaczony dzień poschodzili się Mokroziebani do Tamagci, bo u niego była izba nowieksa a najmniejszej się w niej dymieło, bo wysłudgerował wieksom dziurę w powale na dym. Kiedy się poschodzili, postawili wielki stół na środek i zaczęli radzić. Radzą godzinę i drugą i nie nie uradzili, bo każdy się bał wójtowania, że ani się podpisać nie umie.

Nareszcie z któryś, poważniejszy głowy wielka wesz spadła na stół aż zbużyła kopytami. Wnet jom uwidzieli syćka, bo zaczyna cyfrować po stole. Chłopi się zawstydzili, bo nikt nie wiedział z czyjej głowy ta wesz wyleciała.

Byliby jom na skutku zabili. Ale jeden młody chłop, figlarz, powiada: „Hej, deście jej spokój, niek chodzą. Pozwiesiojcie głowy, popieprzajcie woie o stół i patrzcie na cyj wól wesz wyjdzie, ten będzie wójtem i kwita!“.

Ośmieli się syćka, ale podzieli, że niek tak będzie. Wesz chodzi po stole, potem po brzegu stołu, szuka, kaby ludzkie kudły znoś i krew pic. Już koło paru woli przesta, już niejednen usychał, że wójtem będzie. Jas nareszcie, chycieła się pazdurami nowiekszego wola, wóry nosił gązda Ozdrapek. Wesz poczuła miękcyj pod kopytami i posta wesoło do gąszcza kudeł na brodzie Ozdraпка.

Jest wójt! Niech żyje wójt Ozdrapek! — zawolali syćka chłopi, choć niejednemu było może markotno, że mu wesz nie weszła na wól, bo wtedy, wicie, połowa ludzi była w Mokrym Zlebie z wolami.

„No, wójcie, teraz by się wóm patrzyło nas pogosić!“.

„A cemu — powiada wójt — przecieście nie wy mnie wybrali, wes sama sła ku mnie, wdzieszcie, ehej!“.

Alłści wójt podskoczył, chyciel się za brode i zawolał: „R a t u j c i e ludzie!“ — Syćka chłopy drgneli — co się stało? Wójt wtedy wyjął wesisko, wtóre go ugryzło i zabił pazdurem na ławie. „Oby cię diabli, pedział sobie, więcej ty wójtów nie będziesz obierać w Mokrym Zlebie — ehej!“.

„Ja już wiem!“ pedział figlarz. Syćka się obezrelli na niego, co to przecie powie.

— „Ja myślem tak, że kiedy wesz obrała wójta, wesz go ukasyła i wszy się nastrachoł, zawolał, r a t u j c i e, nazwiemy naszom wies Ratulów!“.

— Dobze, dobre, niek mu będzie Ratulów.

Od tego czasu skończył się Mokry Zleb, choć woda w nim idzie i jeszcze w paru miejscach przez wodę trza się ciapkać. Ozdrapek długie roki wójtował, pokieła nie umar. Ale więcej razy nie wesz wójt wybierała, bo ani wszy ani woli nie dojrzysz dziś w Ratulowie. A jesse ta babka i to gadala, że pono na piecacie miała być wesz wyrzeźbiona. Ale to musiała być nieprawda, bo nigdy nikt nie widział w Ratulowie takiego dokumentu z taką piecátkom.

A tak wpm opowiedział o Ratulowie i pierwszym wójcie w nim. Jak nie wierzycie, to się spytajcie babki mojego dziadka,

JAK RZĄDZIŁ PIERWSZY WÓJT W RATULOWIE

CZYTAĆ wójt nie umiał, ale na karbowaniu się znał dokumentnie. Do pisania najał sobie młodego pisarczyka z miasta, uczonego na elementarzu i na rachunkach, co pisać umiał rysikiem a nawet i piórem.

Poschodzili się chłopi w niedzielę po południu do urzędu gminnego do byrnego gązdy Ozdraпка. Usiedli na ławach, patrzą po izbie, dziwują się, jak się odmieliło u wójta. Okna większe, dymnik też, ba, i przy drzwiach zapora nie z powroza, ale z żelaza — ehej.

— Boście ta dość wyzdałali tą kancelarię gminną wójcie — odezwał się figlarz przysięgły.

— Moi kochani ludkowie, powiada wójt, wyzdałalek kancelarię, gadacie, no tak, i wyzdał troche. A teraz zwolalem was po to, co by wyzdać cały Ratulów, bo to już nie Mokry Zleb. I teraz radzcie, żeby nasza gmina nie była za innymi na ostatku, ale pierwsze przed wszystkimi — ehej. Gadaćcie, coście uważali za zle, co wam dokucza, to byśmy może jako naprawili. Zadumali się radni Ratulowej, spoglądali jeden na drugiego i na wójta co on nie powie.

— No co, żaden nic nie powie?

Jeden radny dźwignął rękę i odezwał się: — Jo zauważył, najgorsze u nas to, że po tych wodach trzeba przechodzić dużo razy i moczyć się, albo dwadzieścia cztery razy zobuwać i obuwać, to mnie dokuczyło strasznie i wszyscy ludzie narzekają na to, a najbardziej stare baby, co chodzą do kościoła w Dunajcu.

— Ja bym taką dał radę — powiada stary „Borowy“ — że w każdej niedzielę postawimy chłopów tam na przejazdach poprzec wodę i będą przenosić ludzi, a w drugą niedzielę pójdą drudzy i tak za porządkiem i będzie dobrze.

— Ech, głupioście wymyśliłi — powiada wójt — jabyim inaczej na to radził. Mamy lasu dość, uścinamy drzewa, nakrzeszemy dyl i zrobimy śnik ławy ponad wodą i będziemy chodzić po nich a nie po wodzie — ehej. Kto jest za tym, ręką do góry!

Syćka podniósł, poniek który obie wyciągnął nawet.

— To znaczy, że na tym staniemy. Sekretarz, zapisujcie to. Jedna sprawa uchwalona. A teraz, co więcej zamyslicie?

— Jeszcze wójcie z tym mamy bledę, że u nas w Ratulowie zegarów nie ma. A koguty pieją, jako się którym zawidzi i bieda wiedzic, kiedy rano i kiedy trzeba wstawać, a najgorszej wtedy, jak trzeba iść ka dalej w miasto do urzędu, czy na jarmark. Albo się zawczasu wybierzesz albo zaniekoro. Tak i tak, jest to zle.

— Słusnie gadacie. Cielecki — powiadał dziesięciu naraz.

— I to macie słusnie, bo i mnie nieraz dostało bez to. Ale co tu na to poradzić, na zegar nas niestac, zresztą kto by się znał na nim, chyba ino nasz pan sekretarz.

— Możeby coś innego wymyślić, co by nie kosztowało a było dobre. My na to nie poradzimy nic, chyba wy wójcie, my się na was zdamy. Wszyscy zawolali: Niech wójt radzi.

Wójt poskrobał się w ucho, zakreślił wasy, odchryknął i powiada: Tu innej rady nie ma, ino trzeba co noc posłać dwóch chłopów, co by switu sukali a mamy tu taki róg do trąbienia, to jak znajdą rano, to będą trąbić i ludzie będą wstawać na czas.

— Dobrze jest. Niech żyje wójt Ratulowski — zawolali hurmem wszyscy radni i sekretarz.

— Pomału że, gada wójt, bo kto wi cy tacy sukace rano się nie pomyła i nie będą od północa trąbić?

ALEKSANDER RYMKIEWICZ

Moja dróżka

Nasza leśniczówka
lasem otoczona,
las pogodną wiosną
struny ma zielone.

Tam jezioro błyszczący,
pośród drzew ukryte,
to jezioro piękne
struny ma z błękitu.

Na zielonej strunie,
na błękitnej strunie
tylko wiatr wiosenny
pięknie zagrać umie.

Moja dróżka, moja dróżka
prowadzi, gdzie stary dąb stoi,
a brzoza zielona, a brzoza zielona
rośnie koło dróżki twojej.

Z pączków wstają listki,
z listków pierwsze wieniec,
skąd, dziewczyno moja,
wzszły twe rumieńce.

Niebo lśni błękitnie,
szumi las zielony —
ich kolory chłodne,
twe policzki płoną.

— I to być może — odrzekli radni.

— Ba, moi kochani, ja myśle im dać gesty przetak, jak przez ten przetak widzom dobrze na dwadzieścia czterech kroków, to rano jest muiowane. A taki przetak jest u mnie, mogę go podarować na wspólnie dobro naszej gminy.

— Dobrze jest, niech żyje nasz mądry wójt — zawolali naraz wszyscy radni z sekretarzem.

— Drugą sprawę ważną uchwalono. Zapiszcie sekretarzu — rozkazał wójt. — A co by jeszcze uradzić, no, wymyślicie jeszcze.

Radni poizierają jeden na drugiego. Ja proszę o głos — zawolał młody radny-figlarz.

— Ja bym powiedział, że trza co si wymyślić, co by wójt się różnił od drugich, żeby każdy z daleka widział, że to nie byle chłop, ale wójt sławny z Ratulowa.

— O pewnie żeby się zdało — odpowiadali drudzy.

— No, no, co zaś wymyślicie, możeby koguci ogon przypawic?

— Koguci, niekoguci, ale ja mam już namysłane, że kiedy mamy takiego dobrego i mądrego wójta, to wy wszyscy radni na ten przykład, złozyście się i kupicie sukna na portki i cuchy, a jemu uszyją portki i cuchy, takie, jakich żaden wójt jeszcze nie ma.

— E, niewymyślabys — gada wójt trochę obrażony — dyć ja mam zaco sprawić odzienie, stać mnie na to jeszcze.

— To nie wójcie, że was stać, ale za tyle dobrości coście nam i ludzom we wsi zrobili, należy cię wam od nas. A pewnie, że się patrzy od nas jakiś prezent zrobić i ofiarować.

— Jak tak, to róbcie ino, będę ja widział, co to wymyślicie.

— A dla mnie co — nie? — rzeki pisarz.

— Tobie, gryziplórku drugim razem, jeszcześ na razie nie zasłużył na to.

— No, chłopcy, kończymy na dziś posiedzenie a to wszystko, cośmy uchwiali w tym tygodniu, mamy wykonać. Przeczwaj! to sekretarz.

Pierwsze, mamy ławy przez wodę zrobić na wygodę ludzom.

Drugie, wartę conocną do szukania switu z przetakiem i trąbą.

A trzecie, to prezent dla wójta od radnych.

— Słyszeliście wszyscy?

— Słyszeli, dobrze jest, potem pójdą prezenty dla radnych z całej gminy.

Niech żyje wesz, co dała nam wójt Ozdraпка i nas radnych. Od rana przetakiem szukac podarków, trąbić, aby ich nie zbrakło i ławy stawiać, abyśmy mieli gdzie je sprzedać i zabawić się, ehej!

Jackek Michnak



Foto — CAF

P i o s e n k i

Tak jak listki z pączków,
z listków wieniec pierwsze,
tak rumieńce wschodzą,
kiedy kocha serce.

Dziś do dębu idę dróżką,
ty biegniesz do brzozy radośnie,
lecz nam się nie minąć, bo brzoza
[zielona]
koło tego dębu rośnie.



Foto: J. K. Maciejewski

LUDWIK MAJ

Jak walka — to walka

JAKO chłop malorolny, który od czasu do czasu notuje na łamach „Wsi“ zdarzenia, toczące się na wsi, chciałbym podzielić się z Wami moim doświadczeniem w trudnej pracy korespondenta. Żyję od urodzenia w wsi podkarpackiej tam, gdzie triumfowały ciemnota i zacofanie, gdzie proboszczowie z falangą dewotek i wszelkimi sposobami bogacący się „kmiacie“ czynili wszystko, by muru zacofania nikt nie przekroczył.

Ostre i po imieniu demaskowanie wrogów klasowych, wyciąganie przed całą gromadą prawdziwego obli za takiego lub innego „społecznika“—spekulanta dostarcza życia korespondenta niemało trudności. Wróg rozpracowany broni się, a r- duże stosunki i powiązania, umie się maskować i w swojej obronie nie przebiega w środkach — nieraz szukaj pomocy nawet u władz jako rzekoma ofiara prywatnej złościwości. Opowiem Wam jedno zdarzenie z wielu, które przeżyłem.

Do aparatu naszego GS w Bystrzy weszli wszyscy prywatni sklepikarze — spekulanci. Ich robota — to jedno pasmo obrzydzenia ludziom aparatu spółdzielczego. Niedowazanie towarów, oszukiwanie, arogancki stosunek do chłopów, bicie w sklepie kobiety, przy ciągłych piątykach i kosztownych balach. „Sumieniem spółdzielczym“ czyli głównym księgowym jest byty właściciel sklepu i tartaku Tajfer, który broni i proteguje „fachowców“ — siedmiu byłych sklepikarzy. A młode dziewczęta ZMP-ówki — nie otoczone należytą opieką wykańcza się mankami.

Do „Gazety Krakowskiej“ posłałem korespondencję o jednym sklepikarzu, którego żona sprzedawała w sklepie GS we własnym domu, a mąż kupował drób i jąja na własną rękę, na handel. Oczywiście postawiłem tę sprawę przed gromadą. Zastakowany zaskarżył mnie do Sądu Powiatowego o oszczerstwo. W sądzie w ogniu pytań jego dwóch adwokatów, potwierdziła się prawda — zostałem uniewinniony. Było to w 1951 roku.

ADAM KOWALCZYK

W magazynie GS chłopci nie mogli kupić nawozów sztucznych bo „nigdy ich nie było“ dla biednego chłopca a byli tacy co brali w tym czasie furami i sprzedawali po wyższej cenie. Wykryłem tę sprawę i postawiłem z faktami na zebraniu gromadzkim.

Wtedy zdemaskowany prezes ZSCH i prezes GS rzucili potwarz na mnie, że te ja tak sprzedaje. Potwarz podchwyciona przez ich spółników musiała w obliczu prawdy upaść, a obaj prezesi poszli w odstawę. Oszczerstwa, pogrozki, obrzydzanie życia to ciągle pożywie-



Foto — CAF

nie korespondenta, bo kombinatory a nawet w stosunku do siebie konkurenci, w chwili demaskowania jednego łączą się i wspomagają.

Nie też dziwnego, że bogaci kombinatory, wrogowie naszego ustroju mnie nie kochają, z czego się wiele nie martwię. Cieszy mnie to, że codziennymi gośćmi w mojej chatupie są pracujący chłopcy z innej gromady, z którymi wspólnie wytyczamy drogę postępowania, w oparciu o Partię.

Ostatnio byłem dwa miesiące w Krakowie, gdzie pracowałem na budowach socjalizmu razem z chłopami, którzy zmienili swój

warsztat pracy. Przyjechałem do domu, żona płacze, w gromadzie szum — od domu do domu zdemaskowani wrogowie roznoszą wiadomość, że Maj — to znaczy ja, byłem opublikowany w „Głosie Ameryki“ przez radio jako „szkodnik narodowej Polski“. Oczywiście z tego nowodu jak przyjdą Amerykanie będę wisiał.

Co wypada mi zrobić by „zadowolić“ Amerykanów i ich popleczników, tkwiących wśród ograniczonego kulactwa i spekulantów? Oczywiście odpowiedziałem na to po chłopsku:

1) W każdej gromadzie naszej gminy organizuję gazetki gromadzkie — te straszną broń, której tak boi się wróg i w krótkim czasie podzieli się z czytelnikami „Wsi“ o systematycznie wychodzącej prasie gromadzkiej, redagowanej przez młodzież i pracujących chłopów.

2) Wspólnie z KG Partii i GWK ZSL, jak i z bezpartyjnym chłopstwem przystępujemy do tworzenia w naszych gromadach komitetów założycielskich spółdzielni produkcyjnych i tak zrobimy. To nasza wspólna odpowiedź na ten „Głos Ameryki!“.

Ludwik Maj

Gromada Tymbark

posiada własne konie. Wyobrazić sobie nieludno, jaka tu u nas musiała być niedza przed wojną, gdy żaden chłop nie mógł pracować poza swą gospodarką, a przed młodzieżą stała zamknięta droga do miasta i szkoły. Sam pamiętam, choć byłem jeszcze mały, jak ciężko było rodzicom wyżywić nas siedmiu z niedznych 2 ha ziemi. A podczas okupacji stan ten jeszcze się pogorszył — jadaliśmy wtedy my dzieci 2 razy dziennie i to takie potrawy jak obierki z kar-tofli i owsiane ości.

Musieliśmy bardzo ciężko u bogaczy pracować, aby zarobić na kawał chleba.

Dziś z naszej gromady ok. 100 ludzi, nawet po dwoje, troje w domu, pracuje w przemyśle w Podhalańskich Zakładach Przetwórstwa Owocow — Warzywnego w Tymbarku (który rozbudowujemy z każdym rokiem), w Tartaku Państwowym i innych. Nie brak też naszych ludzi w Nowej Hucie jak: Kapturkiewicz Kazimierz, Kaspryk Stefan i inni. Nie licząc

dzieci, które uczęszczają do szkoły podstawowej, 50 córek i synów biednych chłopów z Tymbarku kształci się w szkołach średnich, a nawet w wyższych, jak Chładkiewicz Józef i Wileczek Krystyna. Nie dziw więc, że kiedy dawniej szło się do pracy za grosze, teraz ludzie już przebiegają. I tak: Tartak Państwowy posiada tylko 68 proc. przewidzianego stanu zatrudnienia, bo ludzie idą do przemysłu, gdzie płacą więcej. Nasz chłop, dorabiając sobie w przemyśle, trzyma się teraz nie źle. Już nie znajdziemy w Tymbarku ludzi ubranych w „zrzebne spodnie i paczezną koszulę własnego wyrobu“ — wies dorównuje miastu, zresztą nie tylko ubiorem



Foto — CAF

Korale
Cichy strumień wolno płynie
wśród szerokich pól,
nad nim niesie jarzębina
świeży koral swój.

Jarzębino, powiedz z dala,
masz czerwony strój:
czy czerwienie me korale,
czy czerwienisz swój.

Gdy czerwienieś są na drzewie,
stamtąd koral weź.
Które wybrać — strumień nie wie,
szumi, płynie gdzieś.

Gdy tak śpiewam, gdy tak proszę,
sercu coraz lżej.
Jarzębina czeka rosy,
ja nie czekam jej.

Czekam tego kto mi powie,
że korale mam
najczerwienie, najpiękniejsze,
temu serce dam.

A. Kowalczyk

Gazetka gminna

Pomysł

Mój sąsiad Kielas wezwał mnie do takiego współzawodnictwa — kto wymyśli dobry pomysł, taki co się przyda i możliwy będzie do spraktykowania — to napisze do Gazetki Gminnej, a co mu drugi da za nagrodę, tego nie wiemy jeszcze. Kielas lubi wypić, proponował wódkę, ale się nasze kobiety nie zgodziły. Moja powiada, że przegrany powinien iść do GRN i załatwić, żeby jeszcze raz sklasyfikowali grunta. Na to żaden z nas się nie zgodził, bo wiadomo, że łatwiej dobry pomysł wymyślić, niż załatwić klasyfikację w GRN, chyba że będzie już po wyborach. Więc nagroda jeszcze nie ustalona.

Zdaje mi się, że jestem pierwszym z pomysłem. Otóż myślę tak: nasze gminne i powiatowe spółdzielnie przyjmują dla nas rozmaite towary, nie dbając o jego jakość. A później wychodzą z motyką, grabiami lub kosą na pole, machają trzy razy i już narządzie diabli wzięli. A nasz przemysł nie jest w takiej sytuacji, żeby dobrych narzędzi produkować nie mógł. Bo i patrzeć jak jest: przywieziesz na punkt skupu złe przesiane zboże, to cię z powrotem do domu odeślą. Musisz jeszcze raz wziąć się do młynka i wysortować odpowiednio zboże. A czy roszaranie nie przebiegała w niej jak w ulegalkach? Albo na punkcie nie wyobrażają tuczniaka na wszystkie strony? I tak powinno być. Spójnia ekonomiczna z robotnikami powinna być solidna. Dobry towar za dobry towar.

Pomyślałem więc sobie, że na grabiach, motykach, kosach powinno być napisane nazwisko dyrektora, żeby się w razie czego wytydził, albo fabryki, żebyśmy ją mogli pochwalić, jeśli zażyjemy. Po mojemu — to bardzo poszukuje na jakości produkcji, kiedy ludzie będą wiedzieli, że firmę odczytamy. I odpowiedzialność będzie większa za to co się produkuje. Prawa będą równe a ludzie zadowoleni.

Jeżeli uważacie mój pomysł za dobry — to wydrukujcie. To podziękuję Kielasa do góry i może coś jeszcze lepszego wymyśli, czego mu bardzo wraz z żoną życzymy.

Antoni Wawrzonek

Oczyścić zarządy

Jak wygląda gospodarka w GS-ach i PZGS-ach na terenie pow. Częstochowa?

Pomimo pewnych osiągnięć, pozostawia ona jeszcze wiele do życzenia. Weźmy pod uwagę nasz PZGS w Częstochowie. Np. w księgowości siedziała do niedawna skutnowana klika reakcyjna — to też bilans na r. 1951 został zakończony dopiero przed 3-ma tygodniami. Co było powodem takiego stanu rzeczy? A to, że siedzieli tam zgrani spekulanci i inni im podobni, którzy specjalnie prowadzili wrogą robotę. W takiej sytuacji PZGS nie mógłby zupełnie czym gospodarować, co posiada i czym ma gospodarować. Dopiero dzięki dobremu kadrowi, który miał zdrowy kręgosłup polityczny, potrafiliśmy oczyścić aparat z tej kliki, wprowadzić nowych pracowników do buchalterii, udrożnić stosunki, dzięki czemu, załoga ci zostały wyprowadzone, ale jeszcze do ostatniej chwili 1952 rok nie jest prowadzony na bieżąco.

Gdy spojrzymy na manka w GS-ach, to jasne będzie, że nie jest jeszcze tak dobrze, jak to mówili niektórzy przedmówcy. Trzeba powiedzieć krytycznie — że i u nas są jeszcze manka i jakie są powody tych manek. Weźmy dla przykładu GS Przyrów, gdzie ostatnio było manko w wysokości 6 tysięcy zł. Co było powodem tego manka? Powodem były kradzieże sklepowe, mimo „uświadczenia” i przeszkolenia. Dlaczego kradła? A to było wesele siostry, to znowu chrzciny, a miała i pięknego chłopczyka, który był nastawiony przez klasowego wroga w czarnej sukni — i ta sklepowa potrafiła brać po 900 zł gotówką z kasy z utargów dziennych. Kiedy Komitet Gminny Partii zażądał kontroli remanentów, Komisja Rewizyjna stwierdziła ten fakt i po tej kontroli wystąpiono z wnioskiem o natychmiastowe dyscyplinarne zwolnienie sklepowej. Jednak Zarząd GS-u nie przestał tolerować tej sprawy, odnosząc się do niej pobłażliwie, zastanawiając się jeszcze, czy nie należałoby sklepowej pozostawić na miejscu. To są niezdrowe stosunki i musi paść porożnienie, że taki Zarząd jest sam z tym złodziejstwem związany.

Z tego wypływa dla nas wniosek, że trzeba oczyścić zarządy GS-ów, wyeliminować z nich tych, którzy się do tej pracy nie nadają będąc skumanymi ze złodziejstwa.

Jan Jelecki
Częstochowa

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. arcydzieła pocztowe oraz listonosze więcej i miejsc przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy

Moja młodzież

Pozwólcie zabrać głos nauczycielowi na łamach Waszej Gazetki Gminnej. Podam, być może same tylko suche fakty, ale też ani powieściopisarz ani poeta, lecz pracownik szkoły, który stara się związać naukę i dzieci z macierzystym środowiskiem.

Jako biolog, założyłem Koło Młodych Przyrodników. Było to w ogóle pierwsze w szkole i okolicy kilka naukowe. Uczniowie podzielili się na sekcje: hodowlana, ochrony przyrody i laboratoryjno-muzealna.

A oto nasze kontakty — powiastaliśmy się z miejscowym chłopem-młocinowcem — Lipskim, agronomem z POM-u dalej z kółkiem Młodych Przyrodników w dalekiej od nas Siedlech, wreszcie z Państwową Radą Ochrony Przyrody.

I jakby nie było — zrobiliśmy w naszej wsi prawdziwą rewolucję! Na piaszczyste gleby wprowadziliśmy po raz pierwszy rośliny oleiste. Jedni się z nas śmiali i podkiwiali, drudzy kiwali wątpliwymi głowami, a na końcu wszyscy podziwiali nasze wspaniałe wyniki. Najbardziej wiekowi z cha-

łup powiatywali oglądać rzodkiew oleistą, linciankę, pachnotkę, rącznik, soję i inne rośliny. Iluż to rodziców przekonywało się wreszcie, że ma mądre dzieci, dzięki ludowej szkole. Spodziewamy się, że uruchomimy nowe, niepraktykowane dotąd u nas działy kontraktacji.

Trzeba powiedzieć, że nie jesteśmy samotną, choć dobrze radzącą sobie, wyspą na morzu okolicznych gromad. Dopomaga nam stale spółdzielnia produkcyjna, stamtąd przecież dostajemy konie. Chłopi indywidualni dostarczyli nam wysokogatunkowych szczytów owocowych drzewek pod nasz szkolny sad. Komitet Rodzicielski zakupił nam akwarium i wiele cennych nasion.

Mnie, nauczycielowi, najwięcej serce raduje moja młodzież, że jeszcze przecież dzieci, które potrafią przodującą naukę Miczurina — Lysenki przenieść w swoje rodzinne strony.

Erazm Gawlin
Wąsosz, pow. Szubin
woj. bydgoskie

Dwie sprawy

Ja, Anna Anuszkiewicz, zamieszkała jak dotąd w Rutce, gm. Pawłów, pow. Suwałki, mam takie dwie sprawy.

Pierwsza wynika z tego, że jest. Matka 8-ga dzieci, a niedawno urodziło mi się jeszcze jedno. Jakby więc nie było, nie każda kobieta może się ze mną równać. Ale dla takich jak ja przedwiońca nasza GRN żadnego uwzględnienia nie ma i wyprowadzi bezpłatnie mi nie przynależa. Napisali mi, że jesteśmy bogaci, bo mamy dwa konie. A tymczasem z kofini tak sprawa, że ich w ogóle nie mieliśmy, a te co u nas dziś chodzą, to za niepełnie jeszcze spłaconą pożyczkę w Banku Polskim.

Daj, Panie Boże, radnym tym dzieci co mnie, to może do rozumu przyjdą, że naszemu Państwu potrzeba ludzi a rodzącą kobietę wspierać.

A teraz sprawa druga. Chata nasza stoi daleko od wsi, w szczerem polu, siedzimy tam jak wilki, dzieciaki ludzi nie widzą, a już zimą ani mowy, żeby regularnie do szkoły chodzili. Postanowiliśmy z mężem osiedlić się na Ziemniach Od-

zyskanych, gdzie dają ludziom gospodarstwa jak się patrzy. U nas ani chlewa, ani obory, a tam mogłabym hodować 200 kur — tak sobie zaplanowałam. Ale siedzę na razie na kilku starych z tego powodu, że w GRN nawet gazet nie czytają. Prosiłbym z mężem, żeby nam wskazali gdzie mamy jechać, a oni wodę w usta, jakby nie wiedzieli, że ludzie ciągną na Zachód. Marzę o PGR-ze, albo spółdzielni produkcyjnej, gdzie bym się mogła nauczycie wykazać jako hodowca kur. Ale jakże tu ruszyć, kiedy znikąd żadnej pomocy. Pojechalismy za własne pieniądze w powiat Olecki, ale żęśmy trafili źle, i zostaliśmy bez grosza, bez wyprowadki i bez możliwości wydobycia się z naszej pustelni.

Z kobietą u nas w GRN się nie liczą, mąż w sprawach urzędowych nie jest obrotny, więc chociaż serce mam miękkie, piszę do Was, a jak wydrukujecie Prezydium od razu przypomni sobie o obowiązku niesienia pomocy tym, którzy sami zgłaszają się na wyjazd na Ziemie Odzyskane.

Anna Anuszkiewicz

KAZIMIERZ ZYGMUND

Rzym prawdziwy

G DY mowa o Rzymie, wielu wyobraża sobie to miasto jako zbiór pięknych pałaców, antycznych budowli, wspaniałych kościołów. Słownem — miasto bogate, piękne, romantyczne.

Niedawno dziennik „Unita” odkrył nowe, mało znane jakże charakterystyczne dla dnia dzisiejszego cechy charakterystyczne „świętego” miasta.

Okazuje się, że obok wielkich pałaców i wspaniałych domów zamieszkałych przez burżuazję włoską, znajduje się olbrzymia ilość

gorszych warunkach. Te 180 tysięcy ludzi mieszka po prostu w grotach, barakach, pod schodami i w innych trudnych nawet do określenia miejscach.

Oto Campo Parioli... Przed wojną odbywały się tu ćwiczenia wojskowe, obecnie tysiące osób żyje w budach zbitych ze starych desek, z blatów od stołów, starych trybun sportowych itp. Tu obok dzielnicy najelagantszych wili stolicy, żyje w „willach afrykańskich” 400 rodzin (około dwa tysiące osób), w najokropniejszych warunkach sanitarnych.

Dwóch lekarzy Kliniki Dziecięcej w Rzymie przeprowadziło badanie ludzi z Campo Parioli. Badania wykazały, że na 486 osób które mają dzieci, połowa jest chora. Kontrolując pomieszczenia stwierdzono, że na 486 osób przypada 173 łóżek, a więc na jedno prawie 3 osoby. Badania dzieci wykazały, że 153 cierpi na szkorbut, 25 na 100 jest chore z powodu niedożywienia, 10 na 100 ma gruźlicę. Bardzo mała liczba dzieci mogła być przyjęta przez lekarzy do szpitala a to z powodu braku miejsca. Okazuje się bowiem, że stolica Włoch ma w szpitalach tylko 170 miejsc dla dzieci.

Od 9 lat żyją już Rzymianie na Campo Parioli w barakach zbitych ze starych desek. Od 9 lat istnieje ta dzielnica „willi afrykańskich”, prawie w centrum Rzymu.

Od czasu do czasu na Campo Parioli przybywa jeszcze jeden barak zbity z czterech stołów, przyniesiony tu przez jakąś rodzinę.

Dziennikarz włoski Ricardo Longone zwiędził ulice nędzy. Oto co pisze: „odwiedziłem kilka tych domów nędzy. Widziałem jak w kilku metrach kwadratowych pewna kobieta otoczona sześciorgiem dzieci borykała się z ułożeniem ich do snu. W pokoju bowiem znajdowało się jedno łóżko. Gdzie śpią dzieci — zapytałem. W szufladach — odpowiedziała kobieta pokazując mi komode. A po chwili dodała — śpią tam daleko, aby ich szczury nie pogryzły w nocy.

Nedza ta jest trudna do ukrycia. A ma ona w Rzymie jeszcze dodatkowe królestwo. Jest także niedza drobnego mieszczaństwa rzymskiego, urzędników ministerstw, nauczycieli, emerytów, tych co wynajmują pokoje studentom, profesorom. Co wiadomo o ich życiu? Wszystko co mają noszą na sobie i starają się na wszystkie sposoby

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

DWA MICHAŁY

TEGO, co się przytrafiło w Kromnowie powiatu jeleniogórskiego nie wymyślił nawet najlepszy pisarz. Tyle schematycznych sytuacji naraz i wszystkie prawdziwe!

Mieszka tam na jednym gospodarstwie dwóch braci Zabłockich — Antoni i Stanisław. Warto by już w tym miejscu przypomnieć słynne przysłowie — wyszedł jak Zabłocki na mydle, z tą jednak lokalną poprawką, że wyszedł — Stanisław. Bo zważcie tylko. Stanisław ożenił się w 1949 roku i odcinał sobie z całości należne mu 8 ha ziemi. Tak jest w aktach GRN — a naprawdę to mu odcinał rodzony brat Antoni — daleko od domu i przeważnie chwały. Wózwo było coś ze sześć, ale trudno dziś dojść do dokładnej liczby, gdyż Antoni je sprzedał, zostawiając sobie dwa. Brony, widły, grabie skrzętnie przed bratem zamyka tak, że gdyby nie zapobiegliwość żony i życzliwych sąsiadów, Stanisławowi żadnym sposobem pola obrobić by nie mogli.

Opisujemy tę sytuację, żeby u sprawiedliwie ciągle bitki obu braci. Okładają się pięściami, a że po ojcu mają jednakową siłę, więc też Antoni narządzi nie pożyczka a Stanisław wywalczył ich nie może. Skłamał. Jakoś w 1950 roku zepsuła się Antoniemu młocarnia na prąd, zaproponował bratu wspólny remont. Części zapasowe zdobyli łatwo, gdyż Antoni przesował podówczas w kole ZSCh i przy ośrodku maszynowym często się objął, zapłacił równo po 700 złotych i tego pamiętnego roku trwała przez kilka miesięcy zgoda. Stanisław otrzymał nawet dyplom za przedterminową oddawę zboża.

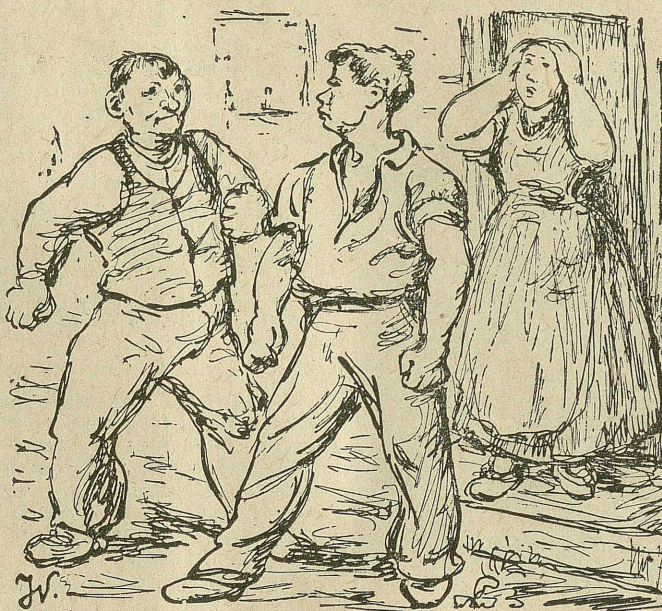
Lecz szczęście — jak sami wiecie — krótko trwa i jest zmienne. Latem ubiegłego roku Antoni był nie w humorze, gdyż wyszło na jaw, że pieniądze na remont Domu Ludowego gdzieś przepadły. Jakże

Na początku wyglądało, że w żaden sposób nie damy sobie rady ze zniwami. Jest w naszej niewielkiej gromadzie Baciuty (gm. Barszczewo, woj. Białostok) 9 rodzin z których chłopcy odbywają służbę w naszym ludowym wojsku. Stąd też zabrakło ludzi do pracy. Wydelegowano mnie, jako najbardziej wygadano do Prezydium GRN w Barszczewie, żeby sprawę pomocy przy zniwach załatwić.

Przewodniczący wygłosił do mnie długą mowę, co tam podkreślał i uwyppuklał, ale ostatecznie pomóc przyrzekł a nawet napisał do

miasto nie wyjść, skoro zawałił się zboże. Nie wiedział jednak biedak, że są jeszcze po gminach takie kierownictwa, zarządy i prezydja, do których nim się zwrócisz, zastanów się dobrze, co czynisz. Ośrodek odda, że przekazał prośbę kołu ZSCh, do którego Stanisław należał. Stamtąd nadszedł papier podpisany przez brata, że mu się z ośrodku maszynowego nie należy, skoro ma ja Zabłocki Antoni — najbliższy krewniak. Na podwórku zaś doszło do jeszcze jednej nierozegranej bójk. A termin oddawy 15 sierpień na karku.

Napisał więc Stanisław do Prezydium GRN Sam soltyś doręczył Antoniemu pismo przewodniczące-



Rys J. Walker

ne, co może potwierdzić sprzedawca alkoholu w GS-ie.

Stanisławowi wydało się bieżącego roku, że zmądrzał. Napisał bowiem urzędowy list do ośrodka

„Moment odległości”

POM-u, żeby do rodzin wojskowych przyjechał traktor ze zniwiarą. Ano, dobra jest — pomyślałem.

Gdzie tam — dobra! Okazało się, że prawie wszystkie zniwiarki przygotowane były do żniwi, ale tylko w sprawozdaniach, wezwaniach i zobowiązaniach. A co do traktora — to ten miał akumulator rozładowany. Popchajcie ludzi — to się naładuje i ruszy — oświadczył nam kierownik. Potrzeba było do tego pchania 15-tu ludzi i 3 godzin pracy. Ale w końcu ruszył. Ruszyli też po kilku dniach i zniwiarki. Ale nie w naszą stronę.

Poszedłem drugi raz do GRN, gdzie mi oświadczone, że decyzja została zmieniona i rodziny wojskowych pomocy nie otrzymają, a to dlatego że początkowo nie wzięto pod uwagę „momentu odległości”. Ten moment wcale nie jest taki wielki — raptem 8 km. Zniwiarki pojechały do rodzinnej wsi pana przewodniczącego, odległej o 5 km. W tym wypadku „moment odległości” gdzieś się zapodział.

U już wydawało się, że nie nam nie pomoże, kiedy zjechał na urlop z wojska Janek Reduta. Ten od razu sprawił, że zniwiarka przyszyła, żniwa ukończył w terminie. Tylko mamy taką jeszcze sprawę: dlaczego co wioska to inna cena za wypożyczenie maszyny? U nas najdrożej — 56 zł od wykoszenia 1 ha, bliżej wsi gminnej — 48 zł a w Barszczewie 40 złotych. Czyżby znowu „moment odległości”, czy zwykła, najwzkiejsza burokracja za którą kryją się interesy radnych GRN z Barszczewa?

Jan Biegała

Wiesław Jażdżyński

Wyszedł z druku nr 1/1952

Kwartalnika

„Zagadnienia ekonomiki rolnej”

Prace Instytutu Ekonomiki Rolnej

Treść numeru:

Przemiany wsi wreszowskiej na tle socjalistycznej industrializacji kraju. Hodowla w spółdzielniach produkcyjnych powiatu obornickiego. Przyczynki do badań lokalizacji i rozmiarów POM. Projekt tematyki dysertacji z zakresu zagadnień ekonomiczno-rolniczych.

„ZAGADNIENIA” publikują fragmenty będących w toku prac badawczych IER. Artykuły, zamieszczone w „ZAGADNIENIACH” stanowią mogą być tym pomocniczy materiał do nauczania w zakresie nauk ekonomiczno-społecznych.

„ZAGADNIENIA” pomocne będą również odpowiedzialnym pracownikom aparatu partyjnego, rad narodowych i organizacji społecznych, którzy w swej działalności praktycznej na odcinku wiejskim odczuwają potrzebę uogólnień i pragną skonfrontować własne obserwacje z pogłębionymi materiałami traktującymi o interesującym ich zagadnieniu.

Ambleja „ZAGADNIEN” jest nadto służyć pracownikom walczącym o pełne zwycięstwo myśli marksistowskiej na związanych z kwestią agrarną odcinkach frontu ideologicznego.

Przykłady w cenie 6 zł można nabyć: w księgarniach naukowych „Domu Książki”, „Klubach Prasy i Książki” oraz kioskach „Ruchu” przy wyższych uczelniach i instytucjach na terenie wszystkich miast wojewódzkich.

Prenumeratę półroczną 12 zł, roczną 24 zł, przyjmują urzędy i agencje pocztowe lub listonosze.

Do końca br. ukazał się jeszcze trzy numery „ZAGADNIEN EKONOMIKI ROLNEJ”

KSIAŻKA I WIEDZA

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 752-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.

Tel.: Red. Nacz. 727-58. Tel.: Redakcji 751 80. Tel. wewnętrzny 91, 68

Warunki prenumeraty:

miesięczna — 3 zł, kwartalna — 9 zł, półroczna — 18 zł, roczna — 36 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5

3-B-24858

Kazimierz Zygmund